

VariArt



www.wbp.olsztyn.pl

pismo kulturalno-literackie 04/2009



ISSN 2080-1483



– Opowiedzieć coś ciekawego?... – sprzedawczynie jednego z wieloletnich olsztyńskich sklepów (zastrzegła sobie anonimowość) uśmiecha się. – Codziennie przychodzi do mnie taki pan, co kupuje tylko kaszankę. Bardzo miły pan. Zawsze przychodzi pod wieczór i kupuje całe mnóstwo kaszanki! Mówi, że u nas jest najlepsza – taka krwista... Ja za taką nie przepadam... – wiem, nie powinnam tak mówić – no, ale ten pan jest świetnym klientem. Teraz były święta – a on jak zwykle przyszedł w wigilię tuż przed samym zamknięciem sklepu – i tę kaszankę!...

Pan od kaszanki jest największą porażką w karierze słynnego van Helsinga, który potajemnie odwiedził Allenstein, gdy ówczesny biskup, po supertajnej konsultacji korespondencyjnej z papieżem, wysłał list do holenderskiego antropologa. Poprosił w nim, aby łowca przybył i wykonał zwyczajową usługę, bowiem w Allenstein pojawił się wampir. Van Helsing przyjmował wszystkie zlecenia, gdyż po pierwsze miał poczucie misji, a po drugie potrzebował mnóstwa pieniędzy, dość szybko więc przyjechał i rozpoczął rozeznanie terenu, a potem polowanie.

„Pan od kaszanki” czasem wspomina niemłodego już i bardzo poważnego Holendra. Ilekroć idzie uliczką Okopową, a potem wzdłuż zamku, zauważa ślady po srebrnych kulach, które świstały nad jego głową, gdy pokornie uciekał i kluczył ulicami Allenstein. Od tego czasu rzeczywiście nabrał szacunku dla swoich żywcieleli, może dlatego że po prostu poczuł się pokonany, mimo iż udało mu się uciec? A może dlatego, że przez chwilę porozmawiał o sensie życia z van Helsingiem, a potem z biskupem, który go wydał... Obydwaj już od dawna nie żyją, przemija też powoli pamięć o nich, a on nadal mieszka w Olsztynie. Już nie zagryza ludzi. Co pół wieku zmienia miejsce zamieszkania, żeby nie mieć kłopotów meldunkowo-urzędowych oraz sąsiedzkich – przecież na oczach ludzkich przez te wszystkie lata w ogóle się NIE starzeje. Od czasu polowania obietnicę złamał tylko raz – podczas wojny, ale do tego stara się myśleć nie wracać. Wie, że zrobił dobrze – i bynajmniej nie dlatego, że czuje wiekiusty głód.

Nigdy nie przepadał za świętami, a zwłaszcza za tak zwanymi obchodami Nowego Roku – gdy wszędzie jest pełno napełnionych adrenaliną ludzi, a stroboskopy i fajerwerki przyprawiają go o, wydawałoby się, niemożliwy ból głowy. W te dni bardziej niż kiedykolwiek ma ochotę zerwać dane sobie słowo i zapolować NAPRAWDĘ. Żałuje prądawnego wyboru nieskończonego życia i bardzo zazdrości słabym, chwiejnym ludziom emocji, ciepła, metafizyki, zapomnienia, końca.

Czasami wydaje mu się, gdy wieczorami mechanicznie przemierza ulice Olsztyna, że niektórzy spoglądają na niego inaczej i nagle wiedzą, czym jest. Kilkoro ewidentnie go kojarzy – dziwnego wysokiego mężczyznę całego na szaro, który spaceruje wieczorami mało uczęszczanymi uliczkami miasta, świdrując wąskimi bladymi oczami każdego mijanego przechodnia, a w święta zagląda do rozświetlonych lampkami wewnątrz kościołów, ale nigdy nie wchodzi. Zwierzęta na jego widok najpierw zastygają, a później rzucają się do ucieczki.

FOTOMONTER IV



Codziennie zamyka dzień tak samo: zapala świecę w szczerolotym kandelabrze, choć w ogóle nie potrzebuje światła, odstawia okno i siada do stołu widząc przed sobą szeregi oświetlonych okienek. Jego telewizja. Nie może wejść do żadnego domu niezaproszony. Ale może patrzeć. Wzdycha i z widocznym wstrętem zaczyna jeść kaszankę. Potem długo wygląda przez okno.

W tym roku postawił sobie choinkę z ciepłymi złotymi lampkami, jakby w niemal ludzkim odruchu-pragnieniu (kiedy to było?). Tak naprawdę zaczął się bać o siebie, kiedy ni z tego ni z owego odezwał się do znalezionej na schodach wypchanego kameleona-zabawki – „Chciałbym mieć kota”. □

Anna Rau

Olsztyńskie pozdamcze w 1970 roku.
Fot. Jerzy Waluga.

Wydawca:
Wojewódzka Biblioteka Publiczna
10-117 Olsztyn, ul. 1 Maja 5
tel. 089 524 90 32; e-mail: wbp@wbp.olsztyn.pl

Redakcja numeru: Sylwia Białecka, Iwona Bolińska-Walenzik, Anna Rau,
Anita Romulewicz, Waldemar Tychek
e-mail: variart@wbp.olsztyn.pl

Grafika i skład: Przemek Kozak; kozak@sphereoncord.com

Druk: Drukarnia LEO; info@drukarnialeo.com.pl

ISSN 2080-1483

- 02
Fotomonter IV
- 04
Wywiad z Duo Joncol
- 05
Wywiad z Gabrielem Bianco
- 07
Poezja → Ryszard Longin Borkowski
- 08
Przegląd filmów rosyjskich
- 09
Proza → Jurgis Gimberis
- 10
Proza → Joanna Wilengowska
- 12
Poezja → Grzegorz Giedrys
- 14
Proza → Katarzyna Enerlich
- 16
Galeria VariArt-u
→ VI Biennale Plastyki Olsztyńskiej
- 18
Aliantka → recenzja
- 19
Felieton
- 20
Dni Kultury Żydowskiej
- 21
Ankieteria
- 22
Dom Mendelsohna
- 24
Galeria Rynek
- 26
Fotograficzny Olsztyn
- 27
Foto-Szene Deutschland
- 28
Fotografie Olsztyna
- 30
Mala Yerba Janusza Połoma
- 31
The One Minutes

0 4 / 2 0 0 9

*Tym razem nie będzie o porach roku – czy śnieg spadnie, czy nie spadnie, czy gwiazdka będzie biała, czy czerwona czy Nowego Roku będzie dosiego, czy wsiego... Piszemy o filmie, architekturze i fotografii. Krótko, po nowemu – jak to w nowym roku. Obok artystów rodzimych – Janusza Połoma, Ericha Mendelsohna, zwycięzców VI Biennale Plastyki Olsztyńskiej, młodych fotografików – donosimy również o wydarzeniach zza wschodniej i zachodniej granicy. Jak w filmie jednonutowym, na jednym oddechu przewiną się: obraz *Mala Yerba* – Złe zioło, przegląd niemeego kina rosyjskiego, niemiecka fotografia, Dni Kultury Żydowskiej, olsztyńska architektura. Całość ilustrują prace laureatów Otwartych Mistrzostw Fotograficznych.*

W czwartym VariArcie – jak zwykle – również odrobina literatury: poetyckie utwory Grzegorza Giedrysa i Ryszarda Borkowskiego oraz proza Joanny Wilengowskiej i Katarzyny Enerlich.

Dla miłośników muzyki dwa wywiady ze „światowymi gitarami” – Brittą Schmitt, Carlesem Guisado i Gabrielem Bianco. Oprócz tego ciekawe recenzje i relacje z wydarzeń regionalnych.

Patrzcie, czytajcie, rozmawiajcie!

Krótko, po nowemu.

Redakcja

VariArt

pismo kulturalno-

KOLONIA I BARCELONA – DWA SERCA, JEDNA DUSZA

Rozmowa z Brittą Schmitt i Carlesem Guisado, czyli „Duo Joncol”



Fot. ze zbiorów B. Schmitt i C. Guisado.

Od 2005 roku gracie w duecie – młoda gitarzystka niemiecka i równie młody gitarzysta kataloński, którzy poznali się podczas studiów w Akademii Muzycznej w Barcelonie. Nasza rozmowa ma bardzo konkretny punkt odniesienia, bowiem w lipcu tego roku gościliście w Polsce po raz drugi – z okazji VI Międzynarodowego Kursu i Konkursu Gitarowego i drugiego dnia tego festiwalu daliście przed olsztyńską publicznością pełen werwy koncert. Poza tym przez tydzień pracowaliście z polskimi uczniami jako nauczyciele gry na gitarze, by wreszcie podczas dwóch ostatnich dni konkursu jako członkowie jury oceniać talent i umiejętności młodych polskich gitarzystów (choć wśród uczestników imprezy byli też nieliczni cudzoziemcy złaknieni kontaktu z wielkimi wirtuozami). Jest to tym bardziej frapujące, że wy sami zaledwie rok wcześniej podczas poprzedniej edycji olsztyńskiego festiwalu gitary byliście uczestnikami tego konkursu i zasłużyliście według jury na najwyższe uznanie otrzymując najlepsze oceny. Czyż nie jest to wspaniała zmiana roli? Wystąpiliście w tym roku na scenie obok największych wirtuozów gitary klasycznej, takich jak Marcin Dylla czy Maximo Diego Pujol, wśród nich znalazł się też Wasz nauczyciel z Barcelony, Zoran Dukic. Jak postrzegacie więc tę nową rolę nauczycieli i jurorów? Czy była ona wzbogacającym doświadczeniem?

Carles: Przywilejem była dla nas ta praca dydaktyczna w jednym gronie z muzykami, których tak bardzo cenimy, i możliwość wymiany z nimi opiniami i spostrzeżeniami. Pod każdym względem było to bardzo wzbogacające nas wyzwanie i mnóstwo się przy tym sami nauczyliśmy. Każdy z tych festiwalowych dni chłonałem z radością.

Britta: Z początku była to dla mnie trochę dziwna sytuacja, gdyż miałam poczucie, że nie przynależymy do żadnej ze stron – ani

jeszcze do nauczycieli, ani już do uczniów, ale że jesteśmy gdzieś pomiędzy nimi. Ale z czasem człowiek zauważa, że jednak potrafi coś od siebie przekazać młodszemu. Sprawiało mi to wielką radość, również dlatego, że poziom umiejętności tych młodych uczestników kursu był bardzo wysoki.

Carles: Bardzo dokładnie pamiętam siebie podczas olsztyńskiego konkursu w roku ubiegłym. Teraz przyszła kolej na nas, by podzielić się swoimi umiejętnościami z innymi, toteż przez cały czas bardzo staraliśmy się skupić na naszym zadaniu i podchodzić do wszystkich przesłuchiowanych uczestników z taką samą intensywnością uwagi.

Co w Waszych oczach stanowi Wasze największe osiągnięcie na drodze muzycznej kariery?

Britta: Na to pytanie nie potrafimy jeszcze udzielić odpowiedzi. Dwa lata temu po dyplomach solowych zaczęliśmy się stopniowo orientować na granie w duecie gitar i z czasem grać już tylko jako duet... Taka gra przynosi nam ogromnie dużo satysfakcji, oznacza wzajemną komunikację, wspólne ćwiczenie i wspólne podróże koncertowe. Mamy nadzieję, że w dalszym ciągu będziemy mogli kontynuować tę naszą drogę, a przy tym w pełni rozwijać się muzycznie.

Carles: Występowaliśmy na kilku festiwalach muzycznych w Niemczech i Hiszpanii, wygraliśmy ostatnio konkurs gitary klasycznej we Włoszech, czego owocem są koncerty zagrane tam niedawno we wrześniu. W trakcie narodzin jest pierwsza płyta kompaktowa z naszymi nagraniami. Poza tym ze Szwajcarii otrzymaliśmy stypendium na studia z zakresu muzyki kameralnej, no i mamy wiele pomysłów i mnóstwo motywacji. Mamy nadzieję, że w naszym przypadku można mówić o początku drogi muzycznej kariery.

Carles, Kolonia to Twój drugi dom, dom z wyboru, i jeszcze jest ojczysta Barcelona... Dwa bardzo różne światy, pomiędzy którymi postanowiliście przerzucić most, by zbliżyć do siebie ich kulturę i mentalność ludzi. Postanowiliście... i oto wiążą już ożywcze wiatry, dzieje się wiele arcyinteresujących zjawisk. Opowiedzcie, proszę, o zaistniałych już artystycznych projektach i Waszych pomysłach na dalsze.

Carles: Naszym głównym projektem jest gra w duecie. Chcemy grać muzykę, która nas w jakiś szczególny sposób zachwyca. Na razie powstał z tego program koncertowy obejmujący współczesną muzykę hiszpańską i południowoamerykańską oraz katalońską, muzykę przesiąkniętą folklorem tych miejsc na ziemi. Oprócz naszej pracy w duecie regularnie co jakiś czas angażujemy się we wspólne działania twórcze z innymi artystami, i tak na przykład współpracowaliśmy z pewnym hiszpańskim aktorem tworząc spektakl poetycko-muzyczny do wierszy Garcii Lorki i Pabla Nerudy.

Britta: Poznaliśmy się w Barcelonie, a obecnie mieszkamy w Kolonii – ale często wracamy do Barcelony. Udało nam się poznać w obu tych miastach niewiarygodnie wspaniałych muzyków oraz innych artystów i bardzo chcieliśmy zbliżyć ich wzajemnie do siebie. Toteż w tym roku powołaliśmy do życia projekt pod nazwą „Duo Joncol – Köln meets Barcelona”. Pierwszym w ramach tego projektu był koncert wraz z Feliu Gasullem – jednym z najwybitniejszych kompozytorów katalońskich, żyjącym w Barcelonie, którego utwory na duet gitarowy mamy w swoim repertuarze.

Carles: Tak jak obecnie w kompozycjach Feliu Gasulla, tak też na przykład w kompozycjach Manuela de Falli wyraźnie daje się rozpoznać wpływ muzyki tradycyjnej. Chcieliśmy klasyczne kompozycje, które powstały pod wpływem stylu i muzyki flamenco, skonfrontować na nowo z samym flamenco. Z tego pomysłu zrodziła się współpraca z tancerką flamenco i z pieśniarką flamenco z Barcelony – obie to wprost fantastyczne artystki! – z którymi w drugim koncercie w ramach naszego projektu zrobiliśmy inscenizację fragmentów sztuk teatralnych, takich jak np. „El amor brujo”.

W Kolonii poznaliśmy perkusistę, który interesuje się instrumentami perkusyjnymi z najróżniejszych kręgów kulturowych świata, takimi jak: darbuka, cajon czy ghatam, razem z nim zagrałiśmy utwory tego typu, co „Jogo” Paola Bellinatiego czy „El Peixet de Bloominton” Feliu Gasulla, utwory, których osnową jest rytm. No i jeszcze parę utworów, które opracowaliśmy dla wszystkich uczestniczących w projekcie artystów, jak na przykład jedną z fantazji na temat Manuela de Falli.

Britta: Jesteśmy wdzięczni losowi, że mogliśmy przygotować i zagrać takie koncerty, bo było to szczególnego rodzaju przeżycie, mamy więc nadzieję, że je wkrótce powtórzymy. Obecnie zajmujemy się przygotowaniem nowych projektów, to jest nowego programu z muzyką dawną, koncertu z orkiestrą, poza tym nasza płyta kompaktowa i... myślimy o nawiązaniu nowej współpracy z inspirującymi twórcami.

Dziękuję Wam bardzo za rozmowę. □

Rozmawiała Anna Stasiak

MUZYKA JEST MOIM ŻYCIEM



Rozmowa
z Gabrielem Bianco,
gitarzystą francuskim

Fot. ze zbiorów G. Bianco.

Gabriel, parę tygodni temu gościłeś po raz drugi w Olsztynie na VI Międzynarodowym Kursie i Konkursie Gitarowym, aby zagrać koncert dla naszej publiczności. Jednocześnie też dawałeś mistrzowskie lekcje gry na gitarze oraz pracowałeś jako juror w konkursie. Twoja pierwsza wiza artystyczna w naszym mieście miała miejsce w 2007 roku, miałeś wtedy dziewiętnaście lat i byłeś najmłodszym wśród zaproszonych koncertujących wirtuozów. Olsztyńscy melomani więc trochę Cię już znają... Co w ciągu tych minionych ostatnich dwóch lat wydarzyło się w Twoim życiu artystycznym – w Twojej karierze gitarzysty klasycznego? Jaką drogą podążasz obecnie jako artysta?

Wydarzyło się mnóstwo rzeczy! Zrobiłem dyplom w konserwatorium w Paryżu, mnóstwo czasu poświęciłem ćwiczeniom nad nowym repertuarem, zagrałem dużo więcej koncertów... Ale moja motywacja pozostała niezmienna – ciągle kupuję ogromną ilość płyt kompaktowych i bez przerwy słucham muzyki. No i oczywiście ciągle ćwiczę i ćwiczę. Pierwsza nagroda, którą zdobyłem w zeszłym roku w konkursie Guitar Foundation of America w USA (jeden z najbardziej renomowanych na świecie konkursów gitary klasycznej – przyp. A.S.), miała fundamentalne znaczenie dla mojej kariery artysty koncertującego. Mam nadzieję, że będę w stanie kontynuować tę drogę artystyczną tak długo, jak tylko to możliwe. Ten sukces w zeszłym roku był dla mnie bardzo ważnym ukoronowaniem wysiłku wkładanego w pracę z gitarą przez całe lata dzieciństwa i wczesnej młodości.

Twoje artystyczne życie rozpoczęło się, gdy miałeś zaledwie pięć lat (dodajmy, że przyszedłeś na świat w rodzinie muzyków), a Twoja kariera gitarzysty – w wieku piętnastu lat (mam tu na myśli Twój pierwszy koncert publiczny w znanym programie telewizyjnym). Czyli można powiedzieć, że zaliczasz się do kategorii „cudownych dzieci”... Czy nie stanowi to dla Ciebie pewnego ciężaru? Chodzi mi o ciężar odpowiedzialności związanej z wciąż rosnącymi oczekiwaniami publiczności wobec Ciebie jako artysty, publiczności przyzwyczajonej do spektakularnego początku Twojej kariery...

Ależ ja się nie czuję cudownym dzieckiem! Moja kariera artystyczna zaczęła się tak naprawdę po wygraniu międzynarodowego konkursu gitarowego, kiedy miałem 18 lat, a stanąłem wtedy do współzawodnictwa z muzykami w wieku do lat 30! Jako dziecko nie zagrałem wcale tak wielu koncertów. Ćwiczyłem ogromnie dużo i nieustannie, żeby zbudować swoją karierę muzyka, ale niekoniecznie wirtuoza. Kiedy dwa lata temu grałem ten koncert w Olsztynie, był on jednym z moich pierwszych koncertów. Mam nadzieję, że publiczność przychodząca posłuchać, jak gram, nie widzi tylko młodego chłopaka grającego na gitarze, lecz młodego muzyka, który dąży do tego, żeby zrozumieć, na jakich prawach opiera się muzyka, jakimi prawami rządzi się muzyczna technika... Na swoich koncertach staram się uszczęśliwić publiczność, ale też potrzebuję poczucia, że inni muzycy widzą całą tę pracę, jaka stoi za każdym granym przeze mnie utworem.

Twój występ w lipcu w Olsztynie – a zagrałeś m.in. Bacha i Chopina – był koncertem radości muzykowania i dynamicznego entuzjazmu, który udzielił się słuchaczom. Twój styl gry określiłabym jako bardzo... słoneczny. Czy jest on po prostu wyrazem Twojej radości życia i Twojego temperamentu, czy też można by go zdefiniować jako francuski styl gitarystyki?

O, dziękuję! Nie wiem, czy istnieje obecnie jakiś zdefiniowany, czysto francuski styl gry gitarowej. Nie czuję też przynależności do żadnej grupy muzyków. Próbuję znaleźć swoją własną drogę poprzez słuchanie dużej ilości muzyki i wiele rozmyślań nad nią. Ale prawdą jest, że na scenie z gitarą w ręku czuję się całkowicie i prawdziwie sobą, wtedy właśnie czuję, że żyję! Móc przeżyć życie jako artysta koncertujący to wielkie szczęście, więc chcę się cieszyć każdą sekundą każdego swojego występu.

Czym jest dla Ciebie jako młodego artysty i człowieka popularność, którą już zdobyłeś? Czy w Twoim życiu istnieje jeszcze coś, co jest porównywalnie ważne dla Ciebie jak muzyka?

Co to znaczy „popularność”? Nie czuję tego, że bym był sławnym artystą koncertującym. I wcale się nad tym obecnie nie zastanawiam. Wiem, dlaczego gram ten rodzaj muzyki, i to jest dla mnie najważniejsze. Muzyka

jest moim życiem. Nie mam tak wiele czasu, by skupiać się jeszcze na czymkolwiek innym, bo muzyka jest tym, czym się zajmuję przez cały dzień i o czym myślę tuż przed zaśnieciem. Bycie popularnym lub nie nie jest rzeczą pierwszoplanową dla mnie, ale oczywiście lubię widzieć, jak publiczność bije mi brawo!

Kogo zaliczasz do swoich ulubionych kompozytorów, jakie epoki i przypisane im style w muzyce gitarowej lubisz najbardziej?

Nie mam ulubionych epok ani ulubionych kompozytorów. Chcę przez to powiedzieć, że każda epoka wydała prawdziwą muzykę i tym samym bardzo dobrych kompozytorów. Bardzo lubię muzykę Bacha, którego uważam za absolutnego geniusza (i którego potrafię zagrać na koncercie!). Lubię również klasyków na czele z Mozartem, muzykę epoki romantycznej, a więc Schumanna, Chopina, także muzykę francuską, czyli Ravela. Z wyjątkiem Bacha nie da się zagrać tych kompozytorów na gitarze, ale ja zawsze staram się znaleźć kilka ładnych utworów, na których mógłbym dokonać jakiejś „przeróbki” pod gitarę. Gram, na przykład, wariacje Mozarta w stylizacji dokonanej przez Fernando Sora i staram się je wykonywać, jakby to był oryginalny Mozart. Zawsze próbuję doszukać się jakichś ogniw łączących repertuar muzyczny przeznaczony dla gitary z muzyką największych kompozytorów.

To na zakończenie naszej trwającej od wielu tygodni – z przerwami – rozmowy (gdyż byłeś trudno uchwytny – festiwal gitarowy w Rumunii, przygotowania do kolejnych koncertów, itd.) zdradz, proszę, gdzie będziesz koncertował do końca tego roku?

Będę grał wiele koncertów w tym roku. 17 września rozpoczyna się dla mnie bardzo długie *tournee* w Ameryce – owoc zdobytej I nagrody GFA. Potrwa ono aż do końca kwietnia przyszłego roku. Coś około 60 koncertów w USA, Kolumbii, Brazylii, Kanadzie i Meksyku. Mam też w planie udział w dużym festiwalu gitarowym we Francji, następnie w festiwalach gitarowych w Norwegii, w Rumunii i na Węgrzech... Nie ma więc czasu na nudę! □

Rozmawiała Anna Stasiak

Fot. Marcin Giba – cykl „Pod powiekami”, OFM 2005.





z tomiku: Zwyczajne wiersze
Wiersze

Pejzaż

Krowy latają, ptaki na pastwiskach
 na śmierć zapomniawszy skrzydeł powietrza
 marzą o trawie, pełnych ryb strumieniach.

Niebieskie obłoki na żółtawym niebie
 oświetla jaskrawo różowe słońce –
 jedyna gwiazda zdobiąca firmament.

Rozbrzmiewa nagle niedojrzały dowcip,
 który nie dorósł jeszcze do pointy,
 a już bezkrytycznie się tu ośmiesza.

Poezja przechadza się skrajem lasu –
 boi się zbłądzić, zatem w głąb nie wchodzi,
 choć las drewnieje w oczekiwaniu.

Słodka jest chwila, którą przeżywamy
 parskając śliną. Kropelki spadają
 na przeszłość, w której wciąż więdną sekundy.

Noc już opada w ciemność naszych źrenic
 na łąki wspomnień srebrzyste w dmuchawcach
 ulatujących cicho w stronę światła.

I tylko nigdy nie ma tutaj deszczu,
 zatem nie kwitną także parasole,
 bo nie pasują do tego pejzażu.

Ryszard Longin Borkowski
Młyn Klekotki

Byłem na słowobranium
 nad stawem przy jazie
 obok wodospadu
 co nieustannie gadał.

Schodziły tutaj łąki
 i zbiegały jary,
 a ponad głowę kręgi
 zataczały orły.

Młyn ciągle miał
 ciszę na rozbryzgi,
 wodę przemieniał
 w tanią elektryczność,

gdy ja spróbowałem
 ujmować w słowa
 otaczającą wokół
 rzeczywistość.

Światło księżycyca

W trawie płatki czereśni,
 a szron na gałązkach,
 na łąkach i na łąkach,
 lśnią kałuże rtęci.

Ścieżką światła biegnie
 smutne wycie psa.
 Księżyc spać nie daje
 tocząc się przez świat.

W paradzie cieni
 zabłąkanych nocą
 mój sen jak słowik
 nadchodzi piechotą.



Niedawno w Olsztynie odbyły się pokazy niemego kina rosyjskiego.

Byłem obecny na trzech z czterech spóźnionych premier. Zająłem swoje miejsce na sali... Oglądałem z oddaniem, chłonąc każdą scenę, utożsamiając się z bohaterami, myśląc jak oni. Byłem w swoim żywiole, bliskim, znanym mi z dzieciństwa. Ludzie obecni na sali byli w jakiś sposób na to wszystko uodpornieni. Gdy skupienie ideologii komunistycznej na metr sześcienny powietrza w ciasnej salce kina „Awangarda” przewyższało wszelkie normy UE, ludzie, od paru pokoleń na nią uodpornieni, wybuchali śmiechem. Po pewnym czasie, doznałem *déjà vu* – coraz silniejszego skojarzenia z obrazkami z mojego życia spędzonego na Białorusi, z codziennością życia w tym kraju, w którym się urodziłem, do którego co jakiś czas wracam, i który przez porównanie, poznaję coraz głębiej.

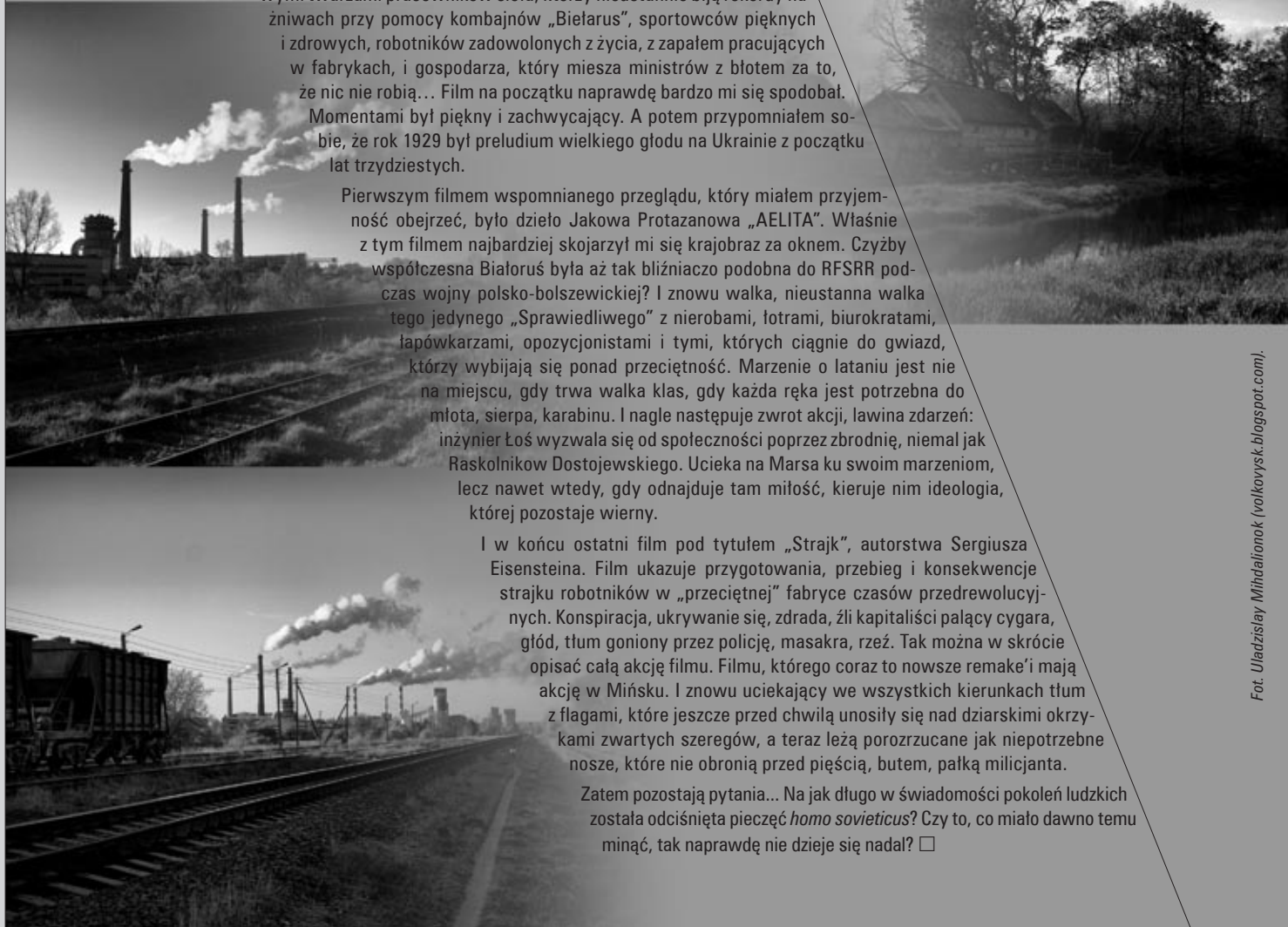
Wczoraj pogoda w Wołkowysku była nieciekawa. Mróz, wiatr, szron na trawie... W Olsztynie, na razie, czegoś takiego nie widziałem. W środku jesieni była zima, a do oficjalnego jej „potwierdzenia” brakowało tylko opadów śniegu. I jeszcze wczoraj po północy, nieśmiało, ledwie zauważalnie zaczął padać śnieg. Dziś po przebudzeniu wszystko wygląda jak czarno-biały radziecki film. Przez okno, które chroni od wycia wiatru, wszystko wydaje się nieme. Jakbym włączył Pierwszy Program Białoruskiej Telewizji Publicznej, jakbym oglądał film Dżygi Wiertowa „Człowiek z kamerą” (1929) z rumiano-purpurowymi twarzami pracowników siola, którzy nieustannie biją rekordy na żniwach przy pomocy kombajnów „Bielarus”, sportowców pięknych i zdrowych, robotników zadowolonych z życia, z zapałem pracujących w fabrykach, i gospodarza, który miesza ministrów z błotem za to, że nic nie robią... Film na początku naprawdę bardzo mi się spodobał. Momentami był piękny i zachwycający. A potem przypomniałem sobie, że rok 1929 był preludium wielkiego głodu na Ukrainie z początku lat trzydziestych.

Pierwszym filmem wspomnianego przeglądu, który miałem przyjemność obejrzeć, było dzieło Jakowa Protazanowa „AELITA”. Właśnie z tym filmem najbardziej skojarzył mi się krajobraz za oknem. Czyżby współczesna Białoruś była aż tak bliźniaczo podobna do RFSRR podczas wojny polsko-bolszewickiej? I znowu walka, nieustanna walka tego jedyne „Sprawiedliwego” z nierobami, łotrami, biurokratami, łapówkarzami, opozycjonistami i tymi, których ciągnie do gwiazd, którzy wybijają się ponad przeciętność. Marzenie o lataniu jest nie na miejscu, gdy trwa walka klas, gdy każda ręka jest potrzebna do młota, sierpa, karabinu. I nagle następuje zwrot akcji, lawina zdarzeń: inżynier Łoś wywala się od społeczności poprzez zbrodnię, niemal jak Raskolnikow Dostojewskiego. Ucieka na Marsa ku swoim marzeniom, lecz nawet wtedy, gdy odnajduje tam miłość, kieruje nim ideologia, której pozostaje wierny.

I w końcu ostatni film pod tytułem „Strajk”, autorstwa Sergiusza Eisensteina. Film ukazuje przygotowania, przebieg i konsekwencje strajku robotników w „przeciętnej” fabryce czasów przedrewolucyjnych. Konspiracja, ukrywanie się, zdrada, źli kapitaliści palący cygara, głód, tłum goniony przez policję, masakra, rzeź. Tak można w skrócie opisać całą akcję filmu. Filmu, którego coraz to nowsze remake’i mają akcję w Mińsku. I znowu uciekający we wszystkich kierunkach tłum z flagami, które jeszcze przed chwilą unosiły się nad dziarskimi okrzykami zwartych szeregów, a teraz leżą porzucane jak niepotrzebne nosze, które nie obronią przed pięścią, butem, pałką milicjanta.

Zatem pozostają pytania... Na jak długo w świadomości pokoleń ludzkich została odcisnięta pieczęć *homo sovieticus*? Czy to, co miało dawno temu minąć, tak naprawdę nie dzieje się nadal?

Piętno Paweł Dowgajto homo sovieticus



Może macie znajomego?

Notował i tłumaczył: Juozas Šikšnelis
Oprac.: Anna Rau

Któregoś dnia, dawno temu, kiedy jeszcze myśleliśmy, że Akropol jest „gdzieś w Grecji”, kiedy na Litwie nie było Telecomu, a mężczyźni pach nie golili – zaczął się palić nasz magazyn. I się pali!... Poleciałem do swojej sąsiadki Lazauskienė: „Nie masz może znajomego strażaka?”. „Mam telefon” – odpowiada. Jednym słowem, dała mi numer. Dobrze, numer mam, ale nie mam czym dzwonić... Puściłem się więc na drugi koniec Baraków, gdzie mieszka Misiūnas, który pracował w sądzie i w Barakach miał jedyny w mieście aparat telefoniczny. Taki „przywiązany”. I jeszcze Misiūnas taki był, że kiedy raptownie trzeba było kogo osądzić albo wypuścić, to władza dzwoniła do niego i wszystko było załatwione...

A trzeba powiedzieć, że Baraki w tym czasie były wielkie jak sam świat! Jeden mój znajomy to stwierdził nawet, że wszystko tu projektował sam Zemkalnis. Ha, król mówi – król wie. Zresztą, może być, bo imponujące Baraki były... (choć nazywane Małą Kolonią Mieszkań) – więcej niż dwieście rodzin...

Zresztą! Dzwonię od Misiūnasa do strażnika. „Tak i tak mnie pana zarekomendowała pani Lazauskienė...”. „Jaka Lazauskienė?” – pyta się strażnik. Tłumaczę, że ta Lazauskienė, która pracuje w kombinacie mięsny. „Znam – mówi – znam, pani Lazauskienė dobrze znam!!! A jaka sprawa?”. Krótko mówię mu, że się pali mistrzuniu, magazyn, może znajdzie możliwość i tak dalej i temu podobne. A był sobotni wieczór – wiadomo, że wszyscy dostojnicy i zwykłe człowieczki już w kapciach z granionymi szklankami w rękach. Ktoś tam pod spódnicami podmacywa, ktoś tam toasty wznosi, a ktoś anegdoty opowiada... No więc strażnik mówi: „Dobrze, przyjadę w poniedziałek”. „Dziękuję, mistrzuniu – mówię – niecierpliwie czekać będziemy!”. Wszystko jak w dyplomacji – „będziemy niecierpliwie czekać”, „będziemy wiecznie wdzięczni” i temu podobne, a naprawdę, co tam czekać z założonymi rękami, kiedy sobotni wieczór i sto procent możliwości! Ech, tańce, bijatyki, karnawały. Realizujemy te sto procent normy.

Strażnik przyjechał w poniedziałek: „Gdzie się pali, can I help you?”. Jednym słowem, rozeszliśmy się jak rodzinka! „Dzięki za pomoc!”. „Jeśli trzeba będzie – dzwońcie! Dniem i nocą!”. „Jeszcze raz dziękuję, mistrzu, przyjemnie było poznać!”...

Bynajmniej, co chcę powiedzieć... Chcę powiedzieć, że tradycja jest żywa. Jakby co – szukasz znajomych: od hydraulika do autora projektu europejskiego. Od czasów Mindaugasa, Jogajty do dzisiaj.

A że magazyn spalił się, niech go jasna... – magazynów i tak jest za wiele! □



Fot. Piotr Dowejko „Leżono łabędzi”, OFM 2009.



Fot. Katarzyna Woźniak „Bryła”, OFM 2009. >



Jak kupowałem pomidory

Pomidor! Jego uśmiechnięta gęba, jego soczyste bebechy, jego tajemnicza mafijna przeszłość! I ta okrągła pewność siebie...

Pomidor zawsze napawał mnie optymizmem. Oczywiście ten prawdziwy, ten tuczony słońcem, a nie jego fabryczni bracia ze szklarniowego chowu, te biedne stworzenia duszone żywcem w folii, które nie znają rozkoszy zapylania przez owady, które nie mają smaku i własnej woni.

Pewnego przedpołudnia poczułem smak na pomidora. Bo nie ma jak pomidor w początkach lata, nie ma jak całe pomidorowe lato – czerwone i soczyste, gęste i namiętne, smakowite i nieco wulgarne...

Wybrałem się zatem na zakupy. Stałem przed ulicznym straganem warzywnym i stanąłem jednocześnie przed wyborem. Bo nie było jednego rodzaju pomidorów. Były trzy. Tego się nie spodziewałem. To mnie zaskoczyło. To mnie zatrzymało.

Nr 1 – pomidory duże po 3.80.

Nr 2 – pomidory małe po 3.80.

Nr 3 – pomidory średnie po 4.00.

Idiotyczna sytuacja. Potrójna kombinacja. Konsumpcyjna pułapka. I ja oczywiście jak ten osiołek, któremu w żłoby dano, w jeden owies, w drugi siano... A tu jeszcze żłoby trzy, pardon, skrzynki trzy, a w nich trzy odcienie czerwieni. Trzy rodzaje kul – które wygrają? Duże były za duże. Małe – za małe. Średnie – idealne, ale najdroższe. A przecież nie mogłem dać się oskubać! Nie jestem w końcu idiotą. Ale z drugiej strony – czy nie warto zapłacić więcej za ideał? Czy ideał nie jest wart każdych pieniędzy? Czy dążenie do ideału nie jest szlachetne? Ale z trzeciej strony – przecież to tylko pomidory! Czy je zjem w śmietanie, z ziemniakami, czy zrobię sos do makaronu – jakie znaczenie ma ich kształt? Żadnego! Ale z czwartej strony – czyż dla pięknego kształtu, najbardziej właściwego – nie zabijano? Czyż Helena Trojańska stałaby się powodem wojny, gdyby miała kształt krzesta? Albo gdyby była zmiennokształtna i przelewała się przez palce jak sos?

Pograżyłem się w rozmyślaniach i nie wiem, jak nawet, ocknąłem nagle z dwoma średnimi pomidorami w dłoniach. Oba lekko zmiażdżone, zapewne przez ciśnienie myśli i ciężar gatunkowy rozważań. Jęknąłem cicho, zamruczałem coś pod nosem do Heleny (w końcu to przez nią!), a tu już widzę, że zza straganu wybiega do mnie sprzedawca, i to wybiega z mordą, a mordę – trzeba przyznać – miał nie pomidorową, a buraczaną.

– Panie, coś pan! – drze się do mnie – zapłać pan teraz!

Zacząłem niemrawo poszukiwać pieniędzy, ale trudno było, z pomidorami w dłoniach... No i wypadły, potoczyły się, a potem wypadły też drobniaki, i zbierałem z chodnika, i to, i to, niezdarnie, jak to ja.

– Panie, zapłać pan! Kolejka stoi! – krzyczał ktoś za mną.

Skąd taka nerwowość w ludziach? – pomyślałem. I tak jakoś, przez przekorę, wolniutko zbierałem grosiki, przekładając z ręki do ręki coraz bardziej rozpaćkane pomidory. Wolniutko, zbyt wolniutko...

– Panie, do jasnej cholery, żonę mam namydloną w wannie, ogórka muszę kupić na maseczkę, zanim wyjdzie!

– Pospiesz się pan, całego dnia nie mamy!

– Co się pan grzebiesz, ja do roboty muszę lecieć, piętnastka mi ucieknie!

– Proszę pana, ja pieska na dwór muszę zaraz wyprowadzić...

No nie wiem, co we mnie wstąpiło... Nie odwracałem się, ale czułem na plecach spojrzeń kolejkowe, a im bardziej czułem, tym wolniej się ruszałem, jak robot z wyładowanymi bateriami...

– Panie, jak mi się żona zaraz wścieknie! Namydlona! Oj, panie!

– A mój szef to się niby nie wścieknie? Na budowie robię stolarkę okienną, a mój szef, oj, to się wścieka, oj, nie życzę nikomu!

– A mój Pikuś, jak za długo w domu siedzi, to bardzo nerwowy, bardzo... Ostatnio parkiet zjadł, i wieszak, i kaptcie, te od wnuczki, na Dzień Babci, z kotkiem... O matko święta, jak sobie pomyślę! Co on tam teraz...

– No niech ktoś coś zrobi! Przecież on tak specjalnie się guzdrze!

No fakt, specjalnie się guzdrałem. Sprzedawca nic nie mówił, tylko patrzył, ale patrzył tak, że burczał w oczach coraz bardziej. Jaki był ciężar jego oczekiwań! Jaki ogromny ciężar oczekiwań ich wszystkich! Jakie ciśnienie! Aż mi się dwadzieścia groszy rozkruszyło w palcach i znowu musiałem szukać po kieszeniach.

Pomidory wyciekły całkiem, a ujadanie ludzkie wzbierało. A każdy z ujadających miał w zanadrzu historię kogoś, kto się wścieknie, jakby za każdym kolejkowiczem stał jeszcze jeden, i jeszcze jeden! Kolejka wścieklizny międzyludzkiej stawała się coraz dłuższa. Skowyt coraz głośniejszy. A każdy ze skowyczących miał za plecami swoją namydloną żonę, szefa od stolarki, Pikusia, dzidzię, dzidzię, męża, kadrową... I dalejże, do opowieści! A każdy z opowiadających miał swoją historię, historię ciężką od oczekiwań, historię pełną żalu, troski i wyrzeczeń, ale przede wszystkim – historię, nad którą wisiła groźba nagłego wybuchu, nuklearnej eksplozji wściekłości. I tak aż do siódmego pokolenia wstecz, aż do Adama i Ewy, a nawet wcześniej – aż do czasów, kiedy jeden atom wściekał się na drugi, wściekał strasznie i zderzał się z nim, dowalał mu z bańki! Taaak! Zatem taki był początek wszystkiego! Wielka wścieklizna napędza ten świat! A tyle razy sam siebie zapytywałem w środku bezsennej nocy – co sprawia, że świat się kręci? Że życiu chce się żyć? Czyż nie łatwiej, milej i przyjemniej byłoby spoczywać w martwym bezruchu? A ta cała krzątanina planet wokół gwiazd, to szwendanie się komet, te atomowe ruchy Browna, to wiercenie się komórek – ależ to z wściekłości, ze świętego wkurzenia, z bez-

podstawnego, ognistego gniewu! A zatem dlatego bogowie dawnych mitologii mieli gniewne oblicza, stąd zatem ich wybuchy złości i potopy, równanie z ziemią całych miast i państw, ciskanie piorunami! To się stąd bierze, z tej wściekłości, że już normalnie nie można, że już nie wytrzymam, trzymajcie mnie, bo jak zaraz...!

Zawiesiłem się jak komputer w powyższych egzegezach, ale szybko powróciłem do świata realnego, kiedy dostałem pomidorem w kark. A potem drugim. I trzecim. Odwróciłem się, zdziwiony bardziej niż wściekły, i ujrzałem tłumek o wściekłych oczach, wyszczerzonych zębach. Warczeli. I rzucali. We mnie...

Uciekałem, jak najszybciej mogłem. Ale Pikuś był szybszy i dopadł mojej tydki. Przewróciłem się. A potem przybiegli inni – budowlaniec od stolarki i jego szef, mąż z namydloną żoną, pani Pikusiowa, sprzedawca... I wielu jeszcze.... Rzucali i rzucali...

Aż straciłem przytomność.

Ukamieniowany pomidorami... □

Jak zniosłem jajo

Miało się ku Wielkanocy. W przydomowym ogrodzie już od tygodnia trwało wiosenne ptasie karaoke. Przez otwarte okno mego pokoju słuchałem ich namiętych trel. Jakże im zazdrościłem. Te pieśni miłości i pożądania! Te praktyczne porady, kuszenia i sztuka reklamy! To wypowiedanie wszem i wobec swoich potrzeb!

- Ja piórka mam najładniejsze, ja będę cudownym mężem i kochankiem, najlepszym reproduktorem!

- Ja najszybciej patyczki zbieram, ja sprawny, ja dzielny!

- Ja gniazdko uwiję wspaniałe, ja bez słowa skargi będę wysiadywać!

- Bądź mi, bądź mi, mi, mi, mi, fiu, fiu, ty cud, ty cud, ja cud, wij, wij, wiję, wiję, ja-jo, ja-jo, piór, piór...

Tak mię nęciły swoim skrzydlatym PR-em, tak skubały w uszy i duszę swoją tęsknotą, swoją koniecznością.

Tak mi zwiastowały!

I nie wytrzymałem. Podałem się sugestiom ptasiej propagandy. Dlaczego? Może to przez znużenie zimą byłem szczególnie podatny na indoktrynację? A może był to rodzaj hipnozy, wywołany częstotliwością pewnych dźwięków? Tak czy owak bariera międzygatunkowa została przełamana – uwiodło mnie królestwo świergotów.

Aż się zaskowronkowałem, zasłowiczyłem.

Zaczęło się niewinnie. Upadł mi ołówek na środek dywanu. Nie podniosłem. Jestem skrupulant i czyścioch, ale nie podniosłem. Potem, zupełnie przypadkowo – kilka innych ołówków stoczyło się obok niego. I dwie kredki. I sznurek. Linijka. Ogryzek. Zupełnie bezwiednie... Kabelki jakieś, odnóżka fikusa. Żyłka, drucik. Moja ręka

zupełnie bez mojej woli upuszczając kolejne drobiazgi. Stare oprawki okularów, gumki od weków, znowu jakieś żyłki, szpagat. Zupełnie bezwiednie... Patyczek od lodów, tyżka, pędzelek.

Następnego dnia wszystkie elementy zgrabnie uplotły się w solidną konstrukcję. Nadszedł etap ocieplania. Skrawki swetrów, ręcznik *frotte*, szalik. Berety cioci. Skarpetka, gazeta, gąbka kąpielowa.

To było piękne gniazdo!

Zasiadłem w nim dumny, zapłodniony ptasimi trełami. Po trzech dniach radosnej ciąży zniosłem jajo. Oszczędzę wam szczegółów fizjologicznych. Nie dlatego, że były brzydkie, o nie. Dlatego natomiast, że o cudach nie można mówić językiem biologii. Tu trzeba języka mistyki. Obrzędu, rytuału, mszy świętej.

Zatem to było jak komunია, tylko w drugą stronę.

Wydobyłem jajo z mego ciała, i było ciałem. A także duchem i ideą. Zaprawdę, powiadam wam, to było wspaniałe jajo, piękne i święte. Idealna była jego jajowatość. Nieskazitelne kształty elips. Biel skorupki mleczna jako mleko świętych krów z delty Gangesu.

Rozpoczęła się medytacja wysiadywania. O jakże to piękna była modlitwa! Jakże wielka radość! Jak wspaniałe poczucie spełnienia i sensu!

Bo nareszcie poczułem się potrzebny. Ja potrzebowałem jaja, a jajo potrzebowało mnie.

Byliśmy sobie nieodzowni, byliśmy dwoma uzupełniającymi się bytami.

Wysiadywałem je przez trzy tygodnie. Niczym jogin spoczywałem w pozycji lotosu, podążając myślą ku kosmicznym sferom. Przez eony dziejów. Widziałem mgławicę rodzącą jaja galaktyk. Widziałem kule energii i jaja materii tańczące w pierwotnym sosie chaosu. Widziałem Brahmę spółkującego z Boginią Matką, i powstanie wielkiego jaja. Z jego białka zrodziło się Niebo, a z żółtka Ziemia. Umysł dryfował pośród wizji, a ciało ogrzewało... mego potomka? Nagle zaniepokoiłem się. Jak każda matka zacząłem sobie zadawać pytania – czy nie za ciepło mu, nie za zimno? Czy odżywiałem się zdrowo? Czy skażenie środowiska naturalnego nie spowoduje narodzin potworka? Mutacja? Nadliczbowe kończyń? Pamiętajcie, że nie miałem w tych sprawach doświadczenia. Byłem Kolumbem, odkrywającym jajo na nowo. Magellanem odmiennych form rozrodczości. Vasco da Gamą jajowatego samorództwa.

Jako matka miewałem koszmary, jako ojciec – uzasadnione obawy.

Jako ptak – wierzyłem w siłę biologii, w sprawdzoną przez miliony lat ewolucji formę jaja.

No i stało się, nadszedł wreszcie ten dzień, dzień wyklucia.

Wszystko poszło dobrze.

Ale o moim potomku może innym razem. Oczywiście opowieść rozpocznie *ab ovo*. □



Anna Rau

Nawet księżyc ma ciemną stronę

„Debiut” Grzegorza Giedrysa

Uśpić te dzikie i wściekle zwierzęta, co tupią w sercu miękkimi, zwodniczo bezbronnymi łapami. Zamknąć je zastawką, zatrzasnąć aortę, klucz-uczucie wyrzucić. Pomogło.

Czyżby? Z pierwszym zimowym brzaskiem zwierzęta stają się niespokojne. Cóż zrobić? Puchaci lokatorzy – lwy, tygrysy, pantery, takie niespodziewane, takie nienaturalne. Trzepot serca, galop łap, puls przyspiesza, słyhać ryk – czy to morze, czy to ja-lew, czy to ja-słoń... Wściekły ranny słoń, dziki płowy lew. Kim ja jestem?! Puchate łapy drapią serce od środka, jak długo...

Haust powietrza. To był sen.

Dziś. Szary smutny świat. Trudny-łatwy, nudny, taki sam. Świat-Olsztyn. Wszystko jedno – letni-zimowy, z temperaturą taką-owaką. Codziennie tak samo. Jak bardzo trzeba przestraszyć człowieka, czym go zastraszyć, jak przekupić, żeby dobrowolnie krążył po uliczkach piekła bez bólu, bez rozpacz, z obojętnością godną herosa. Sąd – i wszystko wróciło do domyślnych postaci. Po Piekło powinno być niebo! Nie ma – jest litania „Z głębokości” i sen o śnie. Sen wściekłych zwierząt – Ty do piekła. Ty do nieba. Ty poczekaś.

Czasem przychodzi wieczorem Ona. Ona nie jest nudna, ona nie jest taka jak inni. Jest naga i bardzo piękna, pramatka zamszowa o wąskich czarnych oczach z mrówkami w kącikach powiek. Słodka kobieta-nietoperz. Przez wieki zwano ją Berą, Babą, Stregą, ale to wszystko nieprawda. Podchodzi, przymyka przezroczyście powieki, zaraz... Nie. Haust powietrza, lekkie zachłyśnięcie. Sen!

Wiersze Grzegorza Giedrysa niepokoją i kuszą oniryzmem przedstawień. Jego obrazy godne Hieronima Boscha są bardzo przemyślane i dopracowane pod względem formalnym. Sam układ wierszy posiada wewnętrzny ciąg przyczynowo-skutkowy i godny powieści chłodny racjonalizm. W tomiku nic nie jest przypadkowe. Niezachwiana harmonia świata snu wbrew pozorom zostaje zachowana, porwana, poszarpana, znajoma, jak z krzywego zwierciadła. To wściekle baśnie braci Grimm: przedziwna historia – litanie przedziwne, ogólnie tylko cuda się nie udają... Och, uzalić się nad miastem, które utrzymują na powierzchni tylko latarnie i nagie drzewa.

Dobrze, że śpią wewnętrzne wściekle zwierzęta. Śnią sen. Żyją sobie prosto, ciasno, wściekle. A człowiek, co więcej ciał opisał





Fot. Paulina Pełsiak „Ziś”, OFM 2009.

niz dotknął? – jest tylko metaforą. Utknął. I chce się obudzić – nie może. Ciemno i zimno, i znów nie ma Boga. Woła z głębokości. Obok stoi Abraham z wiecznie drżącym nożem nad głową sennego już w końcu syna. Nic dziwnego, że śniący coraz częściej śni, że nie może zasnąć. Sny w nim bolą. Serce ciche, dotkliwe i dokuczliwe jak przepuklina mimo zwierząt, dzikich lokatorów serca. Ironio – prawdziwie dzikich. Skąd tacy mieszkańcy sennego świata Giedrysa: patriarchowie, cienie z pól asfodelowych, szatan, co kuleje, męczennice w karnym szeregu i „prawdziwy prorok”, co krzyczy „Biada” trzy razy?... Znajome to „Biada” – i te wściekłe zwierzęta, dzikie bestie biblijne, co mają na końcu swoje odwieczne zadanie do spełnienia? Teraz siedzą spokojnie za kratą snu i wylizując poduszki łap czekają cierpliwie na ostatnią trąbę. Tak, „Debiut” apokaliptyka w Babilonie.

Olsztyn latem – chodnikami płynie rtęć. Płonie wielki Babilon, Giedrys widzi, opisuje, uwalnia zwierzęta, zapisuje kolejność przy-padków „tej ślepej Apokalipsy – najczulszego z bożych gatunków zniszczenia”. Świta – choć trzecia część światła w pokojach już zgasła, warto widzieć poczwary, łamać kolejne pieczęcie i pisać! Śniący chce napisać Biblię dla jednej osoby, być dla niej Bogiem, Alfą i Omegą, pierwszym słowem i ostatnim, początkiem i końcem! Sen sentymentalny nareszcie jest czysty, to on wszystko zaczyna i on coś ważnego kończy. A Miłość trwa w jeziorze szkła. Jej dwórki, smutne, zwiedłe kobiety, znów zamiast pierwotnych rodzą czerwone i żółte liście. Liście to jesień – to sen we śnie. I to jest dobre. Rzeczy wokół stają się delikatne i doskonale jak filizanka. Miłość rozpuszcza włosy pod językiem jak tabletkę nasercową. Już nie wrócą zgłodniałe i wściekłe zwierzęta, bo to sen... „Wierzący mogą się modlić, niewierzący niech klaszczą” – innego końca świata nie będzie. □

Grzegorz Giedrys: Debiut. – Olsztyn : Stowarzyszenie Kulturalno-Literackie „Portret”, 2009.

Olsztyn. Wersja zimowa

Jest jeszcze trochę śpiący i w rurach pod nim płynie kofeina. Wygląda jak narysowany kredą. Latarnie i drzewa obrane z liści utrzymują go na powierzchni stycznia. Biel boleśnie skraca Żrenice i teraz udaje śmierć. Olsztyn z trudem się z niej wytrąca. Piasek pod butami szkli się na sól.

Olsztyn. Wersja letnia

Świta. Narodziny rozkładów jazdy. Po murach wspina się niepewne jak rtęć słońce. Olsztyn wydaje się jeszcze niesamodzielny. Zaczyna płowieć, więc sprowadza deszcz na swoje barwy. Na dachy kryte czerwoną łuską, na chodniki pachnące jak spocona kobieta. W tej dolinie wyschłych kości wszystko poznaje się po części własnego ciała. Piasek pod powiekami szkli się na sól.

Śpią we mnie wściekłe zwierzęta.

Wracają wściekłe do ciebie po śladach krwi na chodniku.

Zbyt wiele jej na cieczkę, za mało na śmierć.

Śpią we mnie zwierzęta,

Wściekłe od kofeiny o smaku osłonek na lekach,

Wściekłe od kobiet pachnących oliwką dla dzieci

i antyperspirantem. Zwierzęta śnią jeden sen –

sen przechodnia: gdy zamkną oczy,

przechodzą w nich ludzie,

których słońce przyciska do bruku.

Śpią we mnie wściekłe zwierzęta i żyją z tobą prosto,

i żyją ciasno, i stają nad tobą lżejsze niż najlżejszy cień,

tlustsze niż cień najtlustszy. Łaszą się do pościeli,

do wilgotnego miejsca, które zajmowałeś.

Wściekłe wpatrują się w bliźnię po krzyżu na ścianie.

Śpią i śnią zdania – jak wściekłe kule w rewolwerze.

Śnią to ostatnie, które zostawię dla ciebie.



Katarzyna Enerlich Czarki samotności

Płomień chybał się niepewnie na krótkim knocie. Cichy trzask ognia, ledwie słyszalny sprawił, że przypomniały się jej wigilie w domu jeszcze przed remontem. Tak samo trzaskały drewna w starym piecu, który potem zastąpiła kuchenka. Stał w rogu kuchni, duży, z ozdobnymi kaflami. Na piecu zawsze trzymała torebkę z kawą. Doskonale wysuszona i zmielona w ręcznym młynku smakowała potem inaczej niż te zamknięte w szafkach. Goście zawsze chwalili tę kawę i pytali, skąd w tych trudnych czasach ma aż tak smaczną. A ona z dumą dzieliła między nich ten ciemnobrązowy, prawie czarny i gęsty od aromatu płyn wlane do kruchych filiżanek, które matka zdołała ocalić z ich podwileńskiego majątku.

Filiżanki z czasem tłukły się – po kolei. Pierwszą strącił ze stołu jej mąż Janek. Dwa dni przed śmiercią. Od razu poczuła, że to zły zwiastun – bo przecież filiżanki przetrwały w repatriacyjnych wagonach, a nie wytrzymały próby czasu na białym, wigilijnym obrusie, w bezpiecznym domu.

Druga filiżanka pękła podczas zmywania. Też po wigilii, ale już później, bo dzieci już dorosły. Zmywała ją pieczołowicie, jak zwykle, a ona mimo to pękła. Przez kilka dni myślała, że spotka ją jakieś nieszczęście, jak wtedy. Nie spotkało. Życie popędziło dawnym rytmem, a ona zapomniała po kilku miesiącach o tej niby-wyroczeni. Tylko czasem serce zakłuło, gdy patrzyła na pusty talerzyk, na którym kiedyś stała krucha czarka.

Trzecią zabrała do akademika córka Ania – nic mamie o tym nie powiedziała, a ona potem przez kilka dni szukała tej brakującej filiżanki. Dopiero po kilku miesiącach Ania się przyznała, że chciała mieć część domu „na obczyźnie”, jak nazywała akademik i studia. Filiżanką zachwycali się wszyscy i podczas tych właśnie zachwytów ktoś niechcący ją upuścił. Pękła na pół, Ania sklepiła ją mocnym klejem, nasypała do niej ziemi i posadziła małego kaktusa. A czwar-

tą stłukł Stasio, sąsiad-niezgraba, który przyszedł w odwiedzinę. Poczęstowała go tą swoją kawą, chciała, żeby było elegancko i wystawiła filiżanki. Też były święta – pamięta dobrze. Bo zapaliła nawet świecę i kominek zapachowy z odrobiną sosnowego olejku. Zapachniało lasem i wtedy Stasiu chciał zobaczyć, jak działa ten kominek. Sięgając po niego nieostrożnie, potracił filiżankę. Ciemny płyn wylał się na biały obrus, czysty jeszcze, bo z wigilii. Pod stołem leżały białe skorupki...

I teraz na szafce w kuchni stoją tylko dwie filiżanki – osieroczone i kruche jak motyle. Potem przyszła kolejna wigilia, kolejna w życiu, ile jeszcze ich przed nią? Wyciągnęła z wiklinowego koszyka flanelową szmatkę. Z trudem doszła do szafki i drżącą dłonią sięgnęła po filiżanki. Żeby tylko nie upuścić – myślała. Zegar wybił piątą – o tej porze zawsze siadali z Jankiem do wigilii. Pierwszy rok sami, ale już wtedy pod sercem czuła ruchy ich córeczki. I potem druga, i trzecia – już z dwójką dzieci: Anią i Jasią, i czwarta – i znów te znajome ruchy dziecka. Ostatnia. Janek nawet nie wiedział, że urodzą się bliźnięta – Antoś i Eugeniusz. Chory i zbolaty był w tamtą wigilię. Lekarz warunkowo wypuścił go ze szpitala, na święta. I wrócił tam na drugi dzień rano, błądy i wyczerpany. Nikt nie spodziewał się, że jego osłabiony w więzieniu organizm nie będzie potrafił obronić się przez zwykłą grypą. Dziś pewnie lekarze by go wyleczyli, ale wtedy...

Nie ma już Janka. Dziś na stole postawi jego zdjęcie, jak zawsze. Przystroi je gałązką świerku, którą kilka dni temu przyniosła bratowa. „Masz, żebyś trochę zapachu świąt miała w domu” – powiedziała, układając połamane gałązki z jednorazowej reklamówki. Sztuczna choinka, od lat stawiana na telewizorze miała tylko zapach starości i kurzu. A te zapachy nie kojarzyły się ze świętami. Ale przypomniały Janka.

Pamięta, jak kupił ją w jakimś sklepie w centrum miasta. Przyniósł ją w malut-

kim kartonie i powiedział: w tym roku tylko taka, w następnym kupi się większą. Zaraz poszła na strych, gdzie schowała kilka bombek, zapakowanych w kartonie po butach. Dostała je od mamy, jak szła „na swoje”. Przełożone watą, z resztkami igieł z ich prawdziwych choinek z domu rodzinnego. Do dziś jeszcze ma ten karton, wyłożony watą ręką mamy. Tyle lat od tamtego czasu minęło...

Wtedy, gdy pierwszy raz wieszała te swoje bombki na małej sztucznej choince, myślała, że w przyszłym roku na pewno będą mieli większe drzewko i lepsze bombki. Ale za rok nie było, bo Janek do późna pracował. Potem znów czasu zabrakło, a potem ten szpital i nie było głowy do nowej choinki. I tak zostało – mała choinka na telewizorze, zaledwie symbol tej prawdziwej, ale tak trudno z nią było się rozstać, bo przypominała Janka.

Przetarła szmatką starą fotografię. Czas na wieczerzę, mój mężu. Ania w Holandii, Jasia w Niemczech, Antoś w Warszawie, a Genio w Kołobrzegu. Wszyscy gdzieś daleko, tylko my zostaliśmy w tym naszym domu – wyszeptala.

Na stole biały obrus, dwa talerze, a obok nich dwa widelce, dwie łyżki i dwa noże. Sztućce wzięta te odświętne, lepsze, nie te aluminiowe, na co dzień. Poglądziła delikatny wzorek na trzonkach. Kupiła je w lepszych czasach, jak już dzieci odchodziła i poszły na swoje. Trudno było młodej wdowie z małymi dziećmi kupić coś drogiego i eleganckiego. A tak zawsze kochała ładne zastawy! Więc gdy już dzieci założyły własne gniazda, przestała sobie tyłu rzeczy odmawiać. To właśnie wtedy kupiła ten biały obrus – ręcznie haftowany, z błyszczącą pliską wokół. Sąsiadki jej zazdrościły go, a gdy przychodziły w święta, delikatnie głaskały gładką powierzchnię.

„Dziś naszych dzieci nie będzie tu z nami, mój Janku” – myślała. – „Nie, nie zapominały o mnie, ale mają swoje kłopoty.



Fot. Justyna Radzymińska „Babcia”, OFM 2009.



Genio chory na kręgosłup, Antoś ma anginę, Jasia nie mogła się wyrwać z tej Holandii, coś ją zatrzymało, a Ania pracuje przez całe święta. Tylko w tym roku nie przyjechali, bo przecież byli tu ze mną rok temu!”.

Nalała gorący barszcz na talerz. Postawiła dymiące pierogi, które odgrzała w kuchence mikrofalowej. Od dzieci dostała, w maju, na urodziny. Dwa dni uczyła się obsługi, bo nie mogła zrozumieć, dlaczego wystarczy tylko kilka minut, by odgrzać potrawę. W piekarniku musiała ją grzać dobre pół godziny.

Jadła wolno, jakby chciała, by wigilia trwała dłużej, jak wtedy, gdy dzieci były z nią. Zawsze do późna siedzieli przy stołach. Rozmawiali, śmiali się, śpiewali kolędy. Pierwszy raz spędza święta sama. Tylko z Jankiem. Sąsiadki ją zapraszały do siebie, ale nie chciała. Źle się ostatnio czuje, nogi odmawiają posłuszeństwa. Gdy pomyślała, że musiałyby iść na drugą stronę ulicy... Nie, to nie było możliwe. Nie dałaby rady. Jutro ktoś z sąsiadów na pewno ją odwiedzi. Będzie miała z kim przełamać się opłatkiem.

Ozdobne sztuczce inaczej uderzały w talerze niż te aluminiowe, które dźwięk miały lekko głuchy, bardziej miękkie. Te ozdobne były twardsze, więc głośniejsze. Nigdy wcześniej nie zwróciła na to uwagi – dzieci swoim hałasem zagłuszały takie dźwięki. A dziś w ciszy mogła tyle usłyszeć!

Odstawiła talerz z resztką barszczu, sięgnęła po pierogi. Prawie wystygły, ale wciąż jeszcze były dobre. Janek ją nauczył, żeby ciasto na pierogi zawsze zaparzać wrzątkiem. „To będzie takie mięciutkie, pulchne” – mówił. No i nauczyła się, teraz jej pierogi są znane w całej rodzinie.

Do farszu z kapusty dodawała kilka grzybów, choć nie mogła ich dużo jeść. Jak wszystko w tym wieku – szkodziły. Ale w wigilię zawsze pozwalała sobie na więcej. Grzyby zbierał zwykle Antoś – przyjeżdżał jesienią do niej na urlop, zaraz pakował całą rodzinę w samochód i wywoził na Ganty. Tam znał każdy kąt – wiedział, gdzie rosną borowiki, gdzie turki, a gdzie najłatwiej o czerwonołebka.

Smak tych wigilijnych pierogów zawsze przypominał jej te wspólne grzybobrania. Ileż było przy tym radości, ile śmiechu. Żona Antka to zapalona zbieraczka grzybów i ich dzieci również – czasem więc do domu znosili pełne kosze tego leśnego bogactwa, a sąsiedzi patrzyli przez okna zazdrośnie. „Oj, będą mieli teraz z nimi roboty!” – mówili do siebie. Ale liczyli po cichu na to, że sąsiadka podaruje im jak co roku, płócienne węzłki z wysuszonymi grzybami. Zawsze tak robiła i mówiła przy tym: macie, na święta, ja i tak dużo nie mogę jeść, to po co mają się marnować.

Czuła, że się już najadła. „Śledzie zjem jutro” – pomyślała. „Teraz napiję się kawy”. Postawiła na stole błyszczące filiżanki

– jedna dla Janka, druga dla niej. Otworzyła paczkę z kawą. Dziś kawa już nie smakuje jak dawniej. „Ale pachnie ładnie, apetycznie” – pomyślała. Wrzątkiem z czajnika zalała brązowe drobiny. Dosypała cukru, dołała śmietanki. Tylko dzięki niskiemu ciśnieniu mogła jeszcze pić kawę, choć ludzie w jej wieku muszą sobie odmawiać tego smakołyku. Krucha filiżanka dobrze trzymała się w dłoni. Można ją było trzymać elegancko za uszko albo obejmować palcami całą czarkę, ogrzewając je.

Patrzyła na szczupłą twarz Janka, otoczoną świerkowymi igłami. „Ładnie ci w tych igłach” – uśmiechnęła się. A on uśmiechnął się do niej spod jasnej grzywki. I tak patrzyli na siebie w rozpląsanym blasku świecy. Zniknął gdzieś ciemny wieczór wigilijny, przestała czuć ból niedotężnych nóg. Znow w błękitnej sukience i z ciemnym warkoczem zawiniętym dookoła głowy przysięgała mu miłość, aż po tę swoją dzisiejszą samotność...

Pani Zosia odeszła do swego Janka wiosną 2008 roku. Przed śmiercią, którą przeczuwała, bo czuła się bardzo źle, poprosiła swoje dzieci, by włożyły do jej trumny ostatnie dwie filiżanki z przedwojennego majątku. „Pójdziemy z Jankiem na kawę, jak dawniej, w niebie na pewno nie ma takich filiżanek” – zażartowała. Minęły właśnie pierwsze święta w domu pani Zosi... bez pani Zosi i jej filiżanek. □

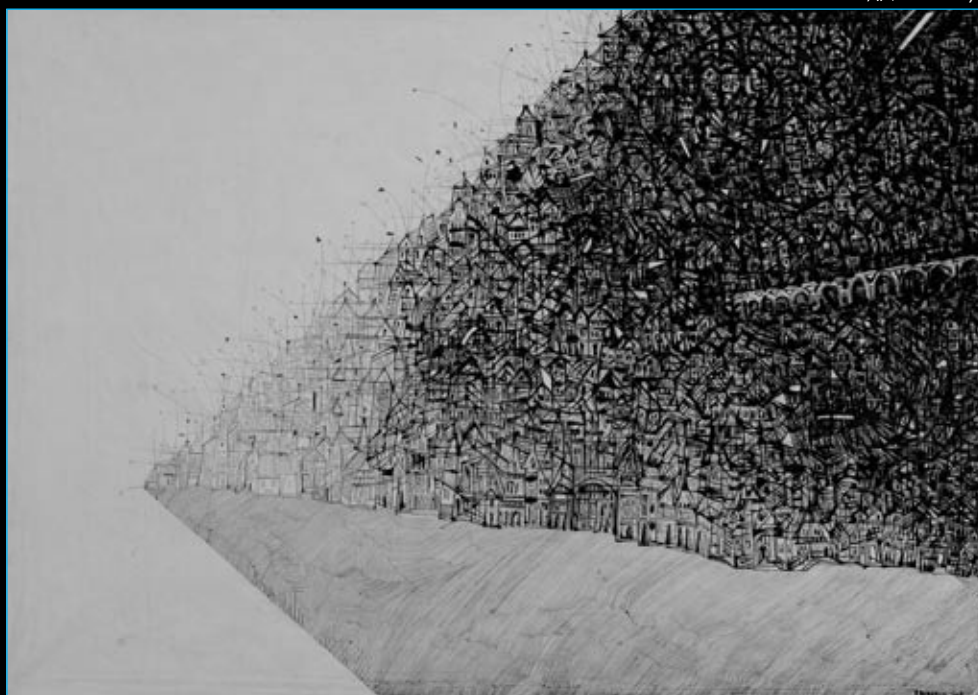
◀ Fot. Izabela Urbaniak „Portret samotnego mężczyzny IV”, OFM 2009.



VI BIENNALE PLASTYKI OLSZTYŃSKIEJ



Julita Wiench, „Ekwinokcjum”



Julita Wiench, „1/6 Piramidy”

W Galerii Sztuki Współczesnej BWA w Olsztynie, odbywa się **VI Olsztyńskie Biennale Plastyki „O MEDAL PREZYDENTA”**. Konkurs ma patronat

Prezydenta Miasta Olsztyna, a jego współorganizatorem jest olsztyński oddział Związku Polskich Artystów Plastyków.

Na konkurs wpłynęło 145 prac 49 autorów. Jury w składzie: prof. Lech Wolski – artysta malarz – Przewodniczący, prof. Wojciech Sęczawa – artysta rzeźbiarz, dr Łukasz Kossowski – krytyk sztuki, dr hab. Waldemar Marszałek – artysta malarz, dr hab. Marek Basiul – artysta grafik, na posiedzeniu 26 października, postanowiło dopuścić do wystawy pokonkursowej wszystkich autorów, a kwalifikację przeprowadzić jedynie wśród zgłoszonych przez artystów prac. Po obradach Jury na wystawę wybrało 120 prac i przyznało następujące nagrody:

GRAND PRIX – MEDAL PREZYDENTA

Julita Wiench za zestaw prac

1. „Miasteczkowe satelity III”, 2009, tusz chiński, tkanina, 170x236 cm
2. „1/6 Piramidy”, 2009, tusz chiński, tkanina, 156x220 cm
3. „Ekwinokcjum”, 2009, tusz chiński, tkanina, 167x214 cm

I NAGRODA

Weronika Tadaaj-Królikiewicz za zestaw prac

1. „Słoma”, 2008, rys. ołówek, papier, 100x70 cm
2. „Słoma II”, 2008, rys. ołówek, papier, 100x70 cm
3. „Słoma III”, 2009, rys. ołówek, papier, 100x70 cm

II NAGRODA

Tomasz Witkowski

1. Z cyklu: „Poduchy” – tryptyk, 2008, terakota szklwiona, 50x50x40

III NAGRODA

Leszek Sokoll

1. „Jezioro”, 2009, akryl, płótno, 95x120 cm



Leszek Sokoll, „Jezioro”

Tomasz Witkowski, „Poduchy”



I WYRÓŻNIENIE

Maja Baranowska za zestaw prac:

1. „Wędrujące XXXIX”, 2009, technika mieszana, 100x70 cm
2. „Wędrujące XXXVII”, 2009, technika mieszana, 100x140 cm

II WYRÓŻNIENIE

Violetta Kulikowska-Parkasiewicz za zestaw prac:

1. „Bez tytułu”, 2009, rys. ołówek, papier, 100x70 cm
2. „Bez tytułu”, 2009, rys. ołówek, papier, 100x70 cm
3. „Bez tytułu”, 2009, rys. ołówek, papier, 100x70 cm

III WYRÓŻNIENIE

Robert Listwan za zestaw prac:

1. „Art Is not gut for czildren”, 2009, akryl, płótno, 203x158 cm
2. „Art Is not gut for czildren”, 2009, akryl, płótno, 100x70 cm
3. „Art Is not gut for czildren”, 2009, akryl, płótno, 100x70 cm

WYRÓŻNIENIA HONOROWE:

Aleksander Woźniak

1. Z cyklu: „Przemiana” – „Bez tytułu”, 2008, sucha igła, 140x100 cm
2. Z cyklu: „Przemiana” – „Bez tytułu”, 2008, sucha igła, 140x100 cm
3. Z cyklu: „Przemiana” – „Bez tytułu”, 2008, sucha igła, 140x100 cm

Wiesław Wachowski

1. „Op-art., Gotyk, Mumel, Wieś”, 2009, zapis dvd, foto, obiekt

Wystawa pokonkursowa prezentowana będzie w Galerii Sztuki Współczesnej BWA, przy Al. Marsz. J. Piłsudskiego 38, od 10 grudnia 2009 do 24 stycznia 2010 roku, codziennie oprócz poniedziałków, w godz. 10.00-17.00.

Malgorzata Jackiewicz-Garniec

Anita Romulewicz

Czas niewidzialnych dzieci

Bo fakt, że to nie sztuka mieć dzieci, ale trzeba jeszcze mieć czas, żeby je wychować.

Éric-Emmanuel Schmitt „Oskar i pani Róża”



Gdy po raz pierwszy w oświeceniu pojawiły się książki adresowane specjalnie do dzieci, rozpoczęła się era dostrzegania rozumności młodego człowieka. Z biegiem czasu zauważano ją coraz bardziej. Literatura stawała się bardziej przyjazna, adekwatna do wieku czytelnika, zaś walor dydaktyczny zaczęto skrupulatniej ukrywać. Dziś młodzież może wybierać w treściach przyjemnych i zabawnych, jednocześnie przemyślanych i ważnych. Może nawet trafić na rzecz specjalną – książkę dla nastolatków i ich rodziców. Taka jest właśnie „Aliantka” Reginy Kowalskiej.

Wśród wielu współczesnych problemów literatury młodzieżowej coraz częściej spotkać można temat dzieci z rodzin rozbitych. Sama kwestia rozwodu, choć już wiele razy poruszana, ukazuje nowe konteksty i genezy problemu. W „Aliantce” to czas pogoni za sukcesem materialnym, za życiem łatwym i wygodnym, które, jak zawsze, ma swoją cenę. W wielkomiejskim świecie kreowanym przez autorkę, zupełnie jak w życiu, dorośli raniąc siebie nawzajem najbardziej krzywdzą własne dzieci. Kowalska wydaje się celowo tworzyć kontrast pomiędzy bogatą i zarazem zepsutą Warszawą a skromnym Srokowem na Warmii, gdzie życie biegnie niespiesznie w rytmie pór roku. Krytycznie obchodzi się przy tym z tzw. aliantami, zamożnymi ludźmi sukcesu, którzy poświęcając czas, by zarobić na letnią willę nad jeziorem w sielskim zakątku kraju, nie znajdują go już dla własnych dzieci.

Ta powieść to swoisty podręcznik dla rodziców. Alternatywne modele rodzin nie pozostawiają złudzeń. Dom piętnastoletniej Dobrochny – uczennicy elitarnego gimnazjum w Warszawie, to przestrzeń bez zasad, poczucia stałości i bezpieczeństwa, w którym panuje atmosfera niedomówień lub milczenia. Liczą się w nim jedynie pozory, dzięki którym wulgarna kłótnia otrzymuje szlachetne miano „zasadniczej rozmowy”. Dla niezaradnej matki i nieobecnego ojca metodą na wychowanie córki jest wyłącznie zabezpieczenie finansowe. Tu nie mówi się o uczuciach i wzajemnych potrzebach. Nikt nie pyta o zdanie dorastającej dziewczyny w kwestiach tak dla niej znaczących jak przeprowadzka, zmiana szkoły czy opuszczenie przyjaciół. Przeciwnie jest natomiast tradycyjny i wielopokoleniowy, wiejski dom Uli – skromny i zaludniony do granic możliwości, pełen jednak troski, wzajemnej pomocy i poświęcenia. To w nim matka szyje nocą wymarzoną sukienkę dla córki, podczas gdy w wielkiej willi Dobrochny jest tyle ciepła, co w wygasłym kominku.

„Aliantka” to obraz niezwykle kruchej natury młodego człowieka, który zmagając się z własnymi emocjami, typowymi dla wieku dorastania, potrzebuje rozsądku i dyskretnego zaangażowania dorosłych. Niebagatelną rolę odgrywają w powieści osoby starsze, jak gosposia – pani Halinka, dobry duch domowego ogniska, umierająca pani Stenia – skarbnica wiedzy o przeszłości, wzór patrioty, czy rezydenci domu kombatanta – źródło wzruszeń, empatii i szacunku. Autorka słusznie nie dzieli tych dwóch światów. Ukazuje przestrzeń nastolatków wypełnioną zabawą, przyjaźnią, pierwszą miłością, aspiracjami i pasjami z perspektywy późniejszych postaw, wyborów i ich konsekwencji w życiu dorosłym. Jest przy tym logiczna, co pozwala nastoletniej czytelniczce i czytelnikowi utożsamiać się z bohaterką. Kowalska w swojej powieści nie zapomina o sferze emocji typowej dla okresu dojrzewania, dostrzega specyficzny wówczas sposób widzenia świata i odczytywania rzeczywistości. Rozważnie wplata bunt, poznawanie, doświadczanie, ale i zwiększony apetyt na uczucia. Swoistą wartością staje się nawet w odpowiednim momencie życia Dobrochny przyznanie jej w nowym środowisku imienia Dorka – wyrazu sympatii i serdeczności.

Regina Kowalska zawiera w „Aliantce” jeszcze jeden ważny aspekt literatury dla młodzieży, a mianowicie wiarę w bohatera i w słuszność jego wyborów. Ukazuje najbliższe środowisko Dobrochny nie naiwnie dziecięco, ale dojrzałe, poważnie. Nie tworzy tabu z tematu przerwanej ciąży czy nałogów wśród nastolatków. Stara się zmierzyć z nimi zwracając uwagę na fakt, że wszyscy popełniamy błędy, zaś prawdziwa wartość tych doświadczeń tkwi w wyciągnięciu z nich nauki.

„Aliantka” to książka, która niewątpliwie zasłużyła na przyznaną jej w 2008 roku nagrodę*, z niezwykłą delikatnością dotyka bowiem problemów młodych ludzi, kieruje na nie swoje „krytyczne oko”, nie oceniając przy tym. Z jednej strony zdaje się niejako usprawiedliwiać nastoletnie przejawy buntu, nadwrażliwości i wybujałej ekspresji naturalną potrzebą akceptacji. Nikt przecież nie chce czuć się odsunięty, niepotrzebny i samotny. Z drugiej zaś podsuwa rodzicom zagubionym w swoim trudnym zadaniu prostą receptę, by patrząc na własne dzieci – widzieli je. □

* Nagroda w II edycji Ogólnopolskiego Konkursu Literackiego Wydawnictwa TELBIT na powieść dla młodzieży.

Kowalska, Regina: Aliantka / Regina Kowalska. – Warszawa : Wydawnictwo Telbit, 2008. – 255 s. ; 20 cm. - ISBN 978-83-60848-39-5



„Moja Specjalna Półka”

„Od dawna jestem przekonana, że każdy ma w swojej bibliotece jakąś specjalną półkę, na której rezyduje niewielki, tajemniczy zbiorek tomów, poświęconych tematyce nie mającej nic wspólnego z resztą księgozbioru, potrafiący jednak, jeśli mu się bliżej przyjrzeć, wiele powiedzieć o swoim właścicielu”. To fragment *Wyznań czytelnika* Anne Fadiman, który skłonił mnie do opowiedzenia o „mojej specjalnej półce”, która w rzeczy samej dużo o mnie mówi. Tajemnicza półka zawiera książki o książkach.

Ogólnie rzecz biorąc książki o książkach dzieli się [za społecznością internetową] na książki, w których wątek opowieści oparty jest na innej, już napisanej, książce oraz na książki, których nie ma. Słowem – wszystkie książki z antykwariuszami, bibliotekami, woluminami w roli głównej, na drugim planie albo gdzieś, gdzie są wyraźną częścią lektury. Poniżej subiektywny wybór trzech przykładów książek o książkach. Posłużę się fragmentami, aby oddać choć w minimalnym stopniu atmosferę i wrażenia, jakie czekają na tych, którzy ich jeszcze nie czytali, i dać możliwość przypomnienia tym, którzy po przeczytaniu zdążyli już zapomnieć.

„Książki zmieniają los ludzi? A może to ludzie zmieniają los książek” tak rozpoczyna się *Dom z papieru* Carlosa Domingueza. Bibliofilski rarytas ukazujący szaleństwo, do którego jesteśmy w stanie się posunąć opętani miłością do „papieru o innej barwie niż biała, do druku o innym kolorze niż czarny”. Stanowi przestrożę dla zbieraczy, kolekcjonerów i moli książkowych. Określany thrillerem wśród książek o książkach.

Zaginione, zniszczone, nienapisane i wymaginowane dzieła Dostojewskiego, Manna, Hemingwaya, Kafki i lorda Byrona to motto okładki *Biblioteki utraconych książek* Alexandra Pechmanna. Autor tropi utwory, które zaginęły na skutek wypadków i przypadków, zostały zniszczone w obłądnie, gniewie, celowo lub przez nieuwagę. Poznajemy historię dzieł przez wieki skrywanych w tajemniczej komnacie rodem z *Biblioteki Babel* Borgesa, którą zarządzają podbibliotekarze. Myślę, że znalazłoby się spośród współczesnych kilku „szaleńców”, którzy (określając się mianem bibliotekarza) z wielką przyjemnością przemierzaliby „nieskończoną liczbę sześciobocznych galerii” w poszukiwaniu utraconych książek.

„Tak, opowiem wam o miejscu, w którym czytanie może doprowadzić do szaleństwa. Gdzie książki mogą zranić, otruć, a nawet zabić”. Tak Hildegunst, Rzeźbiarz Mitów z książki Waltera Moersa *Miasto Śniących Książek*, ostrzegał przed zagłębianiem się w fabułę, w której

W głębokich zimnych jaskiniach,

Gdzie cienie łączą się z cieniami,

Stare księgi stłoczone w marzeniach,

Śnią o czasach, gdy były drzewami.

Młody, zaledwie 77-letni smok pochodzący z Camonii wyrusza do *Miasta Śniących Książek*, raj dla pisarzy, poetów, wydawców, księgarzy i antykwariuszy, aby odnaleźć autora tajemniczego rękopisu.

Te trzy jakże znaczące i różne przykłady książek o książkach stanowią zaledwie preludium do ogromnego zbioru tytułów, których przedmiotem jest jedna bądź cały zbiór książek.

W dobie powszechnego Internetu można znaleźć wiele blogów, na których autorzy – „miłośnicy literatury” dzielą się z nami swoimi spostrzeżeniami na temat tytułów godnych uwagi. Pojawiają się listy książek, które warto, a nawet trzeba przeczytać, zestawienia stanowiące pewnego rodzaju drogowskazy w poszukiwaniu nowych, nieznanych doznań. Zachęcam do odwiedzania: *Będąc młodą bibliotekarką*, *Miasto książek*, *Dziewczyna Estreichera*, *Moja historia czytania*, *W kącie z książkami*. Internet donosi nam również, że książki o książkach doczekały się poważnych rozpraw magisterskich.

A teraz na zakończenie „moja specjalna półka” w komplecie:

1. Eco Umberto, *Imię róży*.
2. Eco Umberto, *O bibliotece*.
3. Pearl Matthew, *Klub Dantego*.
4. Pérez-Reverte Arturo, *Klub Dumas*.
5. Setterfield Daniel, *Trzynasta opowieść*.
6. Tomkowski Jan, *Zamieszkać w bibliotece*.
7. Zafón Carlos Ruiz, *Cień wiatru*.
8. Zafón Carlos Ruiz, *Gra anioła*.
9. Zusak Markus, *Złodziejka książek*.
10. Dominguez Carols, *Dom z papieru*.
11. Fadiman Anne, *Ex libris – Wyznania czytelnika*.
12. Moers Walter, *Miasto Śniących Książek*.
13. Pechmann Alexander, *Biblioteka utraconych książek*. □

III DNI
KULTURY
ŻYDOWSKIEJ

Be-JACHAD, czyli RAZEM – pod tym hasłem od 5 do 11 października 2009 r., czyli podczas żydowskich Świąt Szałasów, odbywały się w Olsztynie III DNI KULTURY ŻYDOWSKIEJ, zorganizowane przez Stowarzyszenie na rzecz Kultury Żydowskiej B'JACHAD oraz Fundację BORUSSIA. Patronat Honorowy nad imprezą objęła Ambasada Izraela oraz Marszałek Województwa Warmińsko-Mazurskiego, pan Jacek Protas.

W tym roku otwarte dla wszystkich zainteresowanych wykłady, warsztaty, koncerty i spotkania literackie miały za cel przypomnienie o wspólnej koegzystencji Żydów i Polaków w historii i kulturze. Miały zbudować jednocześnie w ten sposób płaszczyznę dialogu opartego na poszanowaniu wzbogacających nas wzajemnie naszych odrębności. W ciągu siedmiu festiwalowych dni odbyło się więc kilkadziesiąt imprez, cieszących się ogromnym zainteresowaniem odbiorców, spośród których większość stanowili mieszkańcy Olsztyna i okolicznych miejscowości (przy czym nie zabrakło również gości z innych miast oraz z zagranicy). Warsztaty i wykłady prowadzili referenci z Polski i Izraela: nauczyciele akademicy i naukowcy z Uniwersytetu Warmińsko-Mazurskiego, Uniwersytetu Jagiellońskiego, Uniwersytetu Warszawskiego, Żydowskiego Instytutu Historycznego i Instytutu Yad Vashem w Jerozolimie. Scenę muzyczną wypełnili zarówno wykonawcy bliżsi tradycyjnej interpretacji muzyki żydowskiej (Klezmer Trio, Danuta Stankiewicz) jak i awangardowi (zespół Klezcore z Kilonii). Codziennym wydarzeniem kulturalnym i edukacyjnym towarzyszyły stoiska z literaturą – można więc było nabyć wiele ciekawych książek wydawnictw „Cyklady”, „Austeria” oraz „Borussia”.

W trakcie uroczystego wieczoru inauguracyjnego zgromadzona publiczność miała okazję obejrzeć wystawę oraz prezentację multimedialną przygotowaną przez Fundację „Borussia”. Tematem całości był dawny budynek Bet Tahara przy olsztyńskim cmentarzu żydowskim oraz tworzone w nim przez „Borussię” Centrum Dialogu Międzykulturowego DOM MENDELSONA. Tego samego wieczoru odbył się wernisaż wystawy kilkunastu wielkoformatowych plakatów „Izraelskiej ilustracji literatury dziecięcej”, ekspozycji prezentowanej w Olsztynie dzięki uprzejmości Ambasady Izraela, która udostępniła także dwa filmy fabularne wyświetlane podczas otwartych pokazów DKŻ.

Wtorkowe Seminarium Żydowskiego Instytutu Historycznego „Od Bolesława Pobożnego do Bolesława Piaseckiego” było znakomitą preludium do kolejnych spotkań i wykładów. Zwięzłe i dynamiczne wystąpienia zaproszonych prelegentów (H. Węgrzynek, P. Weiser, P. Fijałkowski, A. Grabski) przybliżyły historyczne etapy polsko-żydowskich relacji oraz pozwoliły lepiej zrozumieć wzajemne zaszłości i uprzedzenia. Zainicjowane ten sposób dyskusje kontynu-

owano w trakcie kolejnych dni festiwalowych, m.in. podczas trzydniowego seminarium dla nauczycieli pod hasłem „Polacy-Żydzi. Wspólna historia – różna pamięć” (Warmińsko-Mazurski Ośrodek Doskonalenia Nauczycieli w Olsztynie; prowadzenie: Aleksander Suhak WMODM, Noemi Bażanowska UJ, Alex Dancyg Instytut Yad Vashem). Miłośnicy literatury wysłuchali wykładu dr. Krzysztofa Szatrawskiego o świętach i tradycji żydowskiej w twórczości Juliana Strykowski, a dr Beata Tarnowska zapoznała słuchaczy z najnowszymi przekładami wierszy Agi Miszol, jednej z najbardziej cenionych współczesnych poetek izraelskich.

Ostatniego dnia festiwalu Kazimierz Brakoniecki zaprezentował swoją najnowszą książkę „Polak, Niemiec i Pan Bóg”, w poruszający sposób opowiadając o swoich osobistych przemyśleniach i doświadczeniach związanych z problematyką stosunków polsko-żydowskich.

Mimo niesprzyjającej aury tradycyjnie – jak to podczas DKŻ – odbył się spacer „Śladami olsztyńskich Żydów”, a prowadząca go Noemi Bażanowska przedstawiła wiele faktów a także nieznanych dotąd ciekawostek z historii przedwojennej olsztyńskiej gminy żydowskiej oraz ogólnie z zakresu żydowskiej kultury.

Festiwalowi towarzyszyły dwie wystawy – choć różniące się znacznie techniką i formą – spójne w warstwie tematycznej. Olsztyńska artystka Ewa Pohlke zaprezentowała pod hasłem „Czas przeszły niedokonany” kilkanaście abstrakcyjnych prac fakturowych na płótnie oraz kilka obrazów przedstawieniowych, odnoszących się do problemu żydowskiej tożsamości, historii i kondycji duchowej. Seria stonowanych, nastrojowych płócien Míny Gampel z Niemiec pt. „Tradycja i współczesność” zilustrowała życie codzienne w przedwojennych żydowskich miasteczkach, sceny rodzajowe i portrety najbliższych.

Nieodłącznym punktem każdego festiwalu są wydarzenia muzyczne. W tym roku w Olsztynie gościli znakomici wykonawcy i przedstawiciele różnych gatunków muzycznych. Podczas wieczoru inauguracyjnego wystąpił QUARTET KLEZMER TRIO z Krakowa, który zaprezentował kilkanaście utworów tradycyjnych. W gotyckich murach olsztyńskiego zamku rozbrzmiewały więc pełne nostalgii i tęsknoty stare żydowskie pieśni, przenoszące słuchaczy do świata, który przeminął. W programie „A w Olsztynie gra muzyka” Danuta Stankiewicz oraz grupa aktorów z warszawskiego Teatru Żydowskiego wzruszyli śpiewem i do tego rozbawili publiczność żydowskim szmoncesem oraz wykonaniem utworów tak wybitnych poetów jak Hemar i Tuwim. Zupełnie inny repertuar zaprezentował zespół KLEZCORE z Kilonii (Niemcy), grający żywiółowego rocka z elementami muzyki klezmerskiej. W wieczór Szabatu Noemi Bażanowska (vocal) i Aleksandra Giernicka (piano) w wypełnionej



O literaturę żydowską zapytaliśmy
Mirostawa Słapika,
poetę, redaktora, wydawcę.

po brzegi sali Kamienicy Naujackska zaproponowały piękny, nastrojowy program, który zapewne na długo pozostanie w pamięci uczestników.

Ciekawym wydarzeniem była również prezentacja Stowarzyszenia Polskich Mediów – dla tych wszystkich, którzy już byli lub planują wyjazd do Ziemi Świętej. W trakcie imprezy goście z Izraela podzieliли się swoimi refleksjami na temat sytuacji w kraju, jego największych problemów i zagrożeń oraz sukcesów odnoszonych w wielu dziedzinach nauki.

Podczas DKŻ tradycyjnie odbyły się warsztaty plastyczne. Dzięki Ewie Pohlke uczestnicy wysłuchali wykładu o historii, symbolice i motywach plastycznych związanych ze Świętem Szalasów, poznali tradycyjną żydowską wycinankę i wykonali prace pamiątkowe. Ogromnym powodzeniem cieszyły się też warsztaty kulinarne (już na początku tygodnia wszystkie miejsca były zarezerwowane). Ci, którzy zdążyli na czas, na pewno się nie rozczarowali! Wspaniałe dania kuchni żydowskiej serwował Janusz Sznepf, a wyjątkowe przysmaki kuchni izraelskiej – gość z Izraela, N. Bleyer. Szczególną atrakcją była również wyjątkowa degustacja win zorganizowana przez Shaloma Bleyera, który niezwykle interesująco opowiadał o biblijnej symbolice, zasadach koszerności, historii rolnictwa, uprawie winorośli, tradycji i współczesnych metodach produkcji znakomitego izraelskiego wina „Yarden”.

Największą satysfakcją organizatorów był nie tylko sprawny przebieg wszystkich imprez i bardzo dobra frekwencja, ale też znakomita atmosfera stworzona przez wykonawców, wykładowców oraz uczestników III DKŻ. Codziennie poza imprezami oficjalnymi miało miejsce wiele kameralnych, prywatnych rozmów i dyskusji związanych z tematyką festiwalu. Aktywni świadkowie III DKŻ po raz kolejny mieli okazję przekonać się, że kultura żydowska jest niezwykle bogata i inspirująca, a jej poznawanie może stać się twórczą, intelektualną przygodą dla ludzi z różnych środowisk i w różnym wieku.

Na dowody uznania i wyrazy wdzięczności zasłużyli sponsorzy, partnerzy i współorganizatorzy oraz wszyscy ci, którzy swoją życzliwością, gościnnością i pomocą wspierali realizację tegorocznego projektu: Samorząd i Urząd Miasta Olsztyn, Samorząd Województwa Warmińsko-Mazurskiego, Ambasada Izraela, Muzeum Warmii i Mazur, Miejski Ośrodek Kultury, Warmińsko-Mazurski Ośrodek Doskonalenia Nauczycieli, Centrum Edukacji i Inicjatyw Kulturalnych, Żydowski Instytut Historyczny, Towarzystwo Społeczno-Kulturalne Żydów Polskich, Wojewódzka Biblioteka Publiczna w Olsztynie, Książnica Polska, Restauracja „U Artystów”, Sklep Joko Art., Stowarzyszenie Polskich Mediów, Fundacja Przyjaciół Mądrości, Planeta 11, Goethe-Institut z Warszawy, Fundacja im. Roberta Boscha, Gazeta Wyborcza Olsztyn, TVP Olsztyn, Polskie Radio Olsztyn, UWM FM i „Słowo Żydowskie”. □

W rytm życia kulturalnego Olsztyna wpisały się już na dobre Dni Kultury Żydowskiej, których trzecią edycję przeżywalismy w październiku tego roku. Oprócz licznych seminariów poświęconych tematyce historycznej, wystaw artystycznych czy warsztatów kulinarnych istotnym punktem programu były spotkania literackie i wieczory poetyckie. Twórczość pisarzy żydowskich jest również obecna wśród publikacji Pańskiego wydawnictwa...

Trudno jest może o tym mówić w liczbie mnogiej, bo do tej pory wydałem dwie książki izraelskiej pisarki Renaty Jabłońskiej, z którą się zaprzyjaźniłem. Jest to zbiór wierszy i tom opowiadań onirycznych. Ku mojemu zadowoleniu obie książki zauważone zostały przez krytykę. Natomiast w planach wydawniczych na rok przyszły mam wydanie wyboru wierszy autorki „Przed odlotem” i, dzięki inicjatywie prof. Beaty Tarnowskiej, poetyckiego zbioru Amira Ora, także pisarza z Izraela. Z czego się bardzo cieszę, bo lubię jego wiersze. Doświadczam też przy tym pewnego paradoksu, gdyż jako poeta bardziej (i dosyć intensywnie) obcuje z żydowską prozą niż poezją.

Obcując z kulturą-literaturą-sztuką żydowską nieodmiennie odczuwa się zadziwienie: odmiennością i bliskością zarazem, świeżością i zakorzenieniem w tradycji, tym, co znane i nieznanie jednocześnie. Dlaczego mimo polsko-żydowskich wspólnych wątków historyczno-kulturowych literatura żydowska w Polsce jest ciągle jeszcze tak mało znana?

Chyba przed rokiem uczestniczyłem w Lublinie w konferencji poświęconej dziedzictwu kulturowemu polskich Żydów. Tam o tym mówiono. I wysnułem wtedy takie wnioski – ci, którzy zajmują się krzewieniem kultury żydowskiej w Polsce – czy będą to Żydzi, czy Polacy – przeważnie robią to z determinacją, to znaczy nie robią tego po lebkach. Ale to są środowiska nieliczne. Pozostaje więc bariera psychologiczna...

Czy jest jakaś fraza albo ciąg skojarzeń, który syntetycznie oddaje głębię i specyfikę literatury izraelskiej?

Niezwykła umiejętność łączenia zmysłowości z realizmem magicznym.

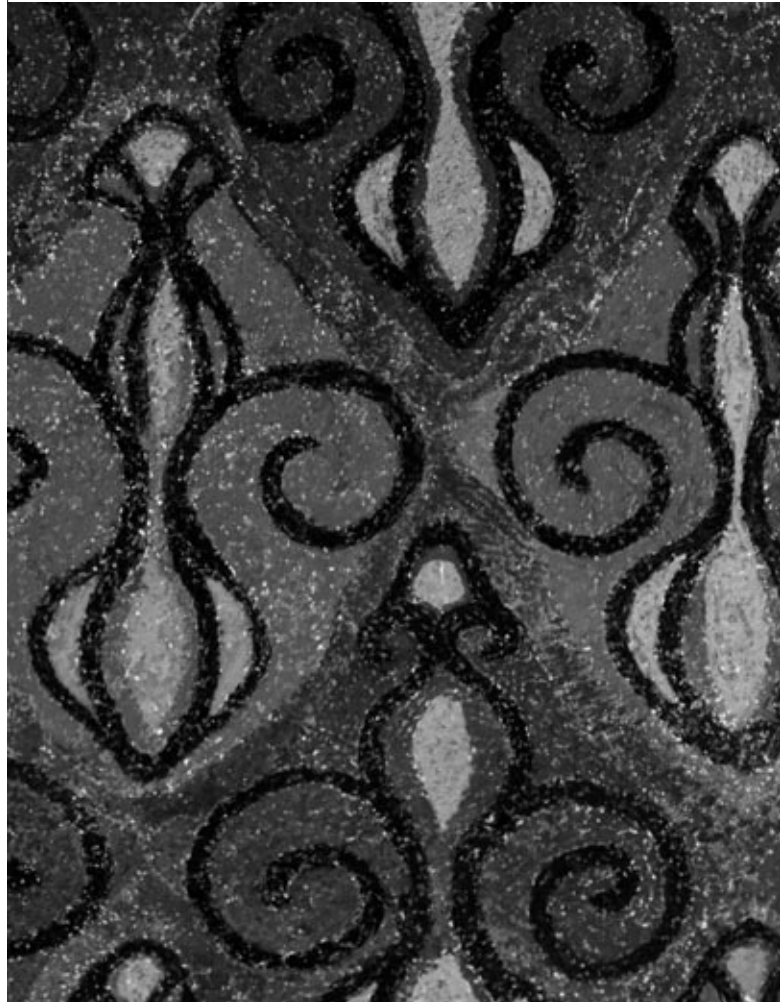
Mirostawa Słapika, urodził się w 1955 r. w Sokółce. Jako poeta debiutował w 1981 r. Publikował m.in. w „Warmii i Mazurach”, „Integracjach”, „Borusii” i macedońskim czasopiśmie „Kulturny Zywoť”. Wydał tomiki: „Ciąg logiczny” (Suwałki 1988), „Jest pięknie” (Łódź 1992) i „Biały Wiatr” (Warszawa 1998). Jest wiceprezesem Stowarzyszenia Literackiego w Suwałkach i prezesem gołdapskiego Towarzystwa Aktywności Społecznej „Mazury Garbate”. Pełni funkcję dyrektora Centrum Promocji i Regionu Gołdap oraz redaktora naczelnego tutejszego dwutygodnika „Z bliska”, pod taką też nazwą wydaje serie książek. Animator kultury, m.in. współorganizator cyklu gołdapskich – ogólnopolskich – spotkań literackich pod nazwą Jesienne Dni Literatury „Ocalenie przez poezję”.

Erich Mendelsohn (1887-1953), wybitny niemiecki architekt żydowskiego pochodzenia, to jeden z najśłynniejszych olsztynian. Światową sławę zyskał jako wybitny twórca budowli ekspresjonistycznych (m.in. Wieża Einsteina w Poczdamie, dom tekstylny w Gliwicach, fabryka kapeluszy Luckenwalde, domy towarowe Schocken w Norymberdze i Stuttgartarcie, Uniwersytet Hebrajski w Jerozolimie, budowle sakralne w Stanach Zjednoczonych).

Nadal niewielu olsztynian zna jego dzieła lub wie, że w rodzinnym mieście zachowała się jego pierwsza realizacja, „Bet Tahara”, dawny dom przedpogrzebowy, oraz dom ogrodnika, znajdujące się przy cmentarzu żydowskim. Było to jedno z pierwszych zleceń, które otrzymał i zrealizował Mendelsohn, wtedy jeszcze początkujący student architektury na politechnice monachijskiej. Budynek został wzniesiony przez gminę żydowską w latach 1911-1913 i jest pierwszym, a zarazem jedynym dziełem architektonicznym, które Mendelsohn stworzył w rodzinnym mieście. Sam architekt nie umieszczał go na liście swoich projektów. Olsztyński obiekt przy ul. Zyndrama z Maszkowic 2 – przez wiele lat zapomniany – stał się prawdziwym odkryciem dla znawców twórczości Mendelsohna, architektów i historyków sztuki.

Wciąż próżno by szukać „Bet Tahary” na mapach czy w przewodnikach po Olsztynie, choć to jeden z najciekawszych olsztyńskich zabytków, miejsce wyjątkowe także w skali całego regionu i kraju, nie tylko ze względu na osobę samego twórcy. Do czasu funkcjonowania w Olsztynie gminy żydowskiej obiekt pełnił swoją pierwotną funkcję. Jeszcze w latach 40-tych XX wieku zamieszkiwał tu ogrodnik opiekujący się cmentarzem, a sam kirkut w prawie niezmiennym kształcie przetrwał do końca lat 60-tych XX wieku. Od początku lat 70-tych w „Bet Taharze” mieścił się olsztyński oddział Archiwum Państwowego – w tym okresie budynek przebudowano i dostosowano do potrzeb archiwalnych magazynów: we wnętrzu wybudowano dodatkowe ściany i stropy, otwory okienne i drzwiowe zostały przebudowane, między „Bet Taharą” a domem ogrodnika pojawił się łącznik. W połowie lat 90-tych XX wieku Archiwum opuściło obiekt: od tej pory nieogrzewany, pozbawiony bieżącej opieki budynek niszczał, z roku na rok chyląc się ku upadkowi.

Od ponad 11 lat środowisko olsztyńskiej „Borussii” poszukiwało możliwości uratowania tego wyjątkowego miejsca, jednej z niewielu zachowanych materialnych pamiątek po żydowskiej społeczności przedwojennego Olsztyna. Dzięki wsparciu finansowemu samorządu Olsztyna „Borussia” (od 2005 r. formalnie dzierżawca obiektu, nazywanego Domem Mendelsohna) przeprowadziła w 2006 r. pierwsze prace zabezpieczające obiekt i remont dachu. Miasto wyłożyło także środki na ekspertyzę konserwatorską, niezbędną do podjęcia dalszych działań na rzecz ratowania zabytku. Prowadzone przez konserwatorów badania dowiodły, że ten skromny i niepozorny



z zewnątrz budynek, który nie przypomina późniejszych projektów wielkiego architekta-wizjonera, jakim był Mendelsohn, jest bardzo cennym obiektem.

W 2007 r. dzięki wsparciu berlińskiej Fundacji „Pamięć, Odpowiedzialność i Przyszłość” oraz Samorządu Miasta Olsztyna konserwatorzy i borussiańscy wolontariusze z Polski, Niemiec i Rosji pracowali nad konserwacją sali głównej „Bet Tahary”. Efekty ich wspólnej pracy potwierdziły badania konserwatorów. Po usunięciu wtórnego stropu betonowego z podpierającymi go filarami odkryto kopułę zwieńczającą salę, a na niej oryginalnie zachowane malowidła i – po części także – mozaiki, zaprojektowane przez młodego Mendelsohna. Według historyków sztuki są one unikatowe i bardzo cenne. Ornamentyka i kolorystyka malowideł świadczą o wpływach słynnej ekspresjonistycznej grupy artystycznej „Blauer

Fragment malowidła ze sklepienia w „Bet Taharze”. Fot. Jacek Sztorc.



Reiter” z Monachium, z którą w czasie studiów blisko współpracował Mendelsohn. W sali zachowała się także oryginalna posadzka z lastryko, którą zdobi gwiazda Dawida.

Prowadzone przez „Borussię” prace konserwatorskie w „Bet Taharze” cieszyły się ogromnym zainteresowaniem opinii publicznej oraz mediów, zarówno krajowych jak i zagranicznych. Zakończona konserwacja sali głównej to jednak dopiero pierwszy etap kompleksowego programu konserwacji i restauracji Domu Mendelsohna, który wymaga jeszcze ogromnych nakładów finansowych. „Borussia” stara się o pozyskanie na ten cel funduszy europejskich. Pomaga jej w tym działające od 2007 r. w Niemczech stowarzyszenie „Freunde der Borussia Olsztyn/Allenstein e.V.” (Przyjaciele Borussii Olsztyn), skupiające sympatyków olsztyńskiego stowarzyszenia i idei ratowania mendelsohnowskiego obiektu.

Celem „Borussii” jest nie tylko zachowanie „Bet Tahary”, ale również nadanie mu nowej funkcji: w odrestaurowanym budynku mieścić się będzie Centrum Dialogu Międzykulturowego DOM MENDELSONNA, miejsce spotkań i wspólnej pracy twórczej ludzi różnych narodowości, kultur i wyznań, edukacji i refleksji, wymiany myśli i debat. Zanim zakończą się prace konserwatorskie i adaptujące obiekt na potrzeby nowej funkcji, od 2008 r. pod hasłem „Salon Mendelsohna” w obiekcie odbywają się seminaria, odczyty, spotkania literackie i filmowe poświęcone kulturze i historii Żydów oraz osobie Ericha Mendelsohna. Na stałe wpisały się one w program olsztyńskich imprez kulturalnych, podobnie jak Dni Kultury Żydowskiej, które od 2007 r. organizują wspólnie Stowarzyszenie na Rzecz Kultury Żydowskiej B’JACHAD i „Borussia”.

Borussiańskie Centrum Dialogu Międzykulturowego rozpoczęło swoją działalność latem 2009 r. – wtedy po raz pierwszy „Borussia” zorganizowała w obiekcie otwarte dla publiczności spotkania: międzynarodowe warsztaty artystyczne dla młodzieży „Osiedle Grunwaldzkie – Wzgórze Tolerancji” (maj 2009) oraz „Sztukologia” (sierpień 2009), seminarium „Centrum w Dialogu – Dialog w Centrum”, a podczas niego koncert zespołu Arona Bluma. W październiku podczas III Dni Kultury Żydowskiej miał tu spotkanie autorskie Kazimierz Brakoniecki, autor książki „Polak, Niemiec i Pan Bóg”, poruszającej najtrudniejsze tematy w relacjach polsko-żydowskich. 2 listopada w „Bet Taharze” po raz pierwszy odbyły się Zaduszki Literackie.

W Domu Mendelsohna gościli liczne grupy i goście indywidualni z całego kraju i zagranicy. Wszyscy, którzy widzieli odrestaurowaną salę główną Domu Mendelsohna podkreślają, że emanuje ona niezwykłą atmosferą. Mamy nadzieję, że już wkrótce przekonają się będą mogli o tym kolejni goście i uczestnicy borussiańskich projektów.

Dom Mendelsohna zaczyna żyć nowym życiem i po latach niepamięci wraca do świadomości mieszkańców Olsztyna i regionu. Mamy nadzieję, że działalność programowa Centrum Dialogu Międzykulturowego nazwanego imieniem wielkiego architekta uosabiać będzie dwie idee – spotkania i dialogu, które charakteryzowały także samego Ericha Mendelsohna jako architekta, artystę o szerokich horyzontach, obywatela Europy i świata, a sam obiekt znajdzie należne mu miejsce na kulturalnej mapie Europy.

Osobom zainteresowanym postacią Ericha Mendelsohna polecamy lekturę książki Ity Heinze-Greenberg „Erich Mendelsohn. Olsztyn – Jerozolima – San Francisco”, która ukazała się w serii „Miniatury Borussii”. □

Kontakt:

wydawnictwo@borussia.pl; www.wydawnictwo-borussia.pl



Galeria Rynek Miejskiego Ośrodka Kultury w Olsztynie

Marek Marcinkowski
dyrektor Miejskiego Ośrodka Kultury

Galeria została otwarta 8 marca 2001 roku, a więc niebawem obchodzić będzie swoje dziesięciolecie. Usytuowana w samym sercu miasta, na skraju jednej z pierzei Rynku Staromiejskiego, jest miejscem, do którego zarówno turyści jak i mieszkańcy trafiają bez trudu, niejako „po drodze”. Raczej niewielka, wyraźnie „kiszkowata” – niejednokrotnie udawadniała, że można w niej wystawiać obrazy naprawdę dużych formatów (wystawa „stajennych” prac Marzeny Huculak z listopada 2003 roku, które otworzyły w Galerii nowe, iluzjonistyczne przestrzenie), a także, że może pomieścić całkiem sporo obrazów (rekordowa ilość to 200 prac pokazanych na wystawie ProGram 2003).

Deklaracje programowe, które padły na początku funkcjonowania Galerii Rynek, głosiły, że:

- będzie to miejsce prezentowania prac artystów profesjonalnych (w odróżnieniu od sal wystawowych w Spichlerzu, które miały służyć głównie amatorom oraz uczniom lub studentom pracującym pod kierunkiem „mistrzów”),
- podczas sezonu letniego (ze względów promocyjnych) gościć będzie prace twórców olsztyńskich lub z Olsztynem związanych – natomiast jesienią, zimą i na wiosnę otworzy się na gości z Polski, a nawet „ze świata”,
- będzie interdyscyplinarna, przez co rozumiano, że będą w niej wystawy malarstwa, grafiki, rzeźby, fotografii itp., a także sztuki wrzucanej zwyczajowo do worka z napisem „nowe media”,
- będzie pokazywać różnorodne postawy artystyczne, byleby były one autentyczne, a w miarę możliwości unikać będzie nijakości i banału.

Tak szeroko zakreślony program niemal w całości udaje się realizować. Oczywiście zdarzały się odstępstwa od ustalonych zasad, ale wtedy organizatorzy wystaw zapewniali, że są to te wyjątki, które potwierdzają regułę. Wygodna wymówka dla – na szczęście niegroźnego – braku konsekwencji!

Nie udało się również uniknąć odrobiny stronniczości. Wyżej podpisany nie ukrywał swoich sympatii do absolwentów olsztyńskiej uczelni kształcącej plastyków, w której był przez jedenaście lat wykładowcą, a także do swoich byłych kolegów: artystów-nauczycieli akademickich. Podobnie było z Iwoną Bolińską-Walendzik, która część swojej edukacji plastycznej odbyła w Olsztynie, a w MOKu (oprócz pełnienia innych obowiązków) była przez wiele lat kuratorką Galerii.

W kolejnych latach, kiedy funkcję opiekuna Galerii sprawowała Agnieszka Odrakiewicz, absolwentka toruńskiego Wydziału Sztuk Pięknych (najlepszy dyplom roku!), w salce Rynku zaczęło pojawiać się więcej torunian.

Do niewątpliwych sukcesów Galerii należy zaliczyć fakt, że artyści olsztyńscy, których rozwój był tu śledzony, okazali się w pełni godni tego zainteresowania. Osiągnęli stopnie akademickie doktorów i profesorów, uczestniczą z sukcesami w rozmaitych konkursach, często są, jak to ma miejsce z Panią Profesor Małgorzatą Chomicz, ambasadorami olsztyńskiej sztuki na świecie. W tej grupie należy wymienić: prof. Marka Szczęsnego, prof. Wiesława Bieńkuńskiego, dr Renatę Zimnicką-Prabucką, dr Antoniego Grzybka, dr Wioletę Jaskólską, dr Marzenę Huculak, Iwonę Bolińską-Walendzik, Małgorzatę Bojarską-Waszczuk.

Obok wystaw artystów młodego i średniego pokolenia Galeria Rynek organizowała ważne wystawy artystów, których już wśród nas nie ma. W latach 2002 i 2005 odbyły się tu znaczące wystawy Hieronima Skurpskiego z cyklu Teatrum Mundi. W latach 2002 i 2007 wystawiał swoje prace Bogdan Stefanów, przy czym wystawa z roku 2002 przerwała okres dłuższej nieobecności tego wybitnego artysty w galeriach.

W sumie – do roku 2009 łącznie – w Galerii Rynek zorganizowano sto trzydzieści sześć wystaw. Między innymi wystawiali tu artyści z Włoch, Niemiec, Ukrainy, Rosji, Australii, USA, Litwy i Węgier. Stałymi punktami sezonu wystawowego są od kilku lat pokonkursowe prezentacje fotografii (Otwarte Mistrzostwa Fotograficzne Olsztyna) oraz wystawy prac stypendystów olsztyńskiego samorządu. Amplituda postaw artystycznych zgodnie z programowymi deklaracjami jest bardzo duża i zawrzeć ją można pomiędzy popularnym malarstwem pastelowym niezwykle lubianego i zapewniającego Galerii tłumy zwiedzających Aleksandra Wołosa a kontrowersyjnymi propozycjami warszawskiego TWOŻYWA.

Działalność Galerii nie ogranicza się jedynie do wystaw. Odbywają się tu także prelekcje (np. cykl „Kobiety w sztuce XX wieku” czy „Muzea świata”), spotkania z artystami i prezentacje warsztatowe, aukcje charytatywne, koncerty i warsztaty dla dzieci. Do jednego z bardziej spektakularnych wydarzeń w Galerii należy zaliczyć tegoroczną, trwającą przez miesiąc, akcję malowania portretów olsztynian prowadzoną przez prof. Geno Małkowskiego.

Najbliższe ważniejsze propozycje Galerii to: kolejna prezentacja prac zwycięzców Mistrzostw Fotograficznych i wystawa, tym razem aktów, autorstwa Geno Małkowskiego, połączona z akcją „malowania na żywo” (!).

W marcu 2010 roku Galeria Rynek wchodzi w drugą dekadę swojego istnienia. Bilans dekady mijającej pokazuje, że stała się już ważnym i potrzebnym miejscem na kulturalnej mapie Olsztyna. □



Hieronim Skurpski



Aleksander Wołos



Eugeniusz Geno Małkowski

Marek Szczęsny



Małgorzata Chomicz

Grupa TWOZYWO



Paweł Staszak Fotograficzny Olsztyn

Wzrost zainteresowania fotografią, a co za tym idzie, rozwój techniki obrazowania trwa nieprzerwanie od początków XX wieku, kiedy cztery miliony Brytyjczyków dzięki upowszechnieniu aparatu Kodaka na film zwojowy stało się jej amatorami, fotografując, co popadnie. Oczywiście dziś traktujemy ten sposób robienia zdjęć jako mało twórczy, jednak w tamtych czasach amator oznaczał artystę – człowieka traktującego aparat jako narzędzie do kreowania rzeczywistości przede wszystkim odmiennej od tej, jaką do tamtej pory kształtowali fotografowie tkwiący wciąż w okowach malarstwa i mający na tyle zasobne portfele, by kupować aparaty fotograficzne. Mniej zamożni amatorzy stali się kołem napędowym fotografii.

Dzisiaj, po wykładniczym niczym wzroście mocy obliczeniowej procesorów, nieprzerwanym rozwoju techniki obrazowania i estetyki w fotografii, wykonywanie zdjęć „byle czemu” i „byle jak” nie jest już uważane za wielką sztukę. „Byle czym” natomiast – i owszem.

Zmieniła się świadomość tworzenia obrazu. Konsekwencja i pomysł zastąpiły przypadkowość. Technika – niedoskonałości, estetyka – braki w wiedzy o prawach fotografii.

Dziś być artystą fotografem, czyli fotografikiem oznacza to samo, co być filozofem. Tak! Świadomość fotografowania, poczucie estetyki, swobodne posługiwanie się techniką fotograficzną jest niczym skrupulatność w filozoficznych sądach popartych zdobyczami nauki.

Tego właśnie nauczamy w Centrum Sztuk Wizualnych w Miejskim Ośrodku Kultury w Olsztynie. Istotnym celem działania wszystkich wykładowców podczas prowadzenia warsztatów jest zwrócenie

uwagi słuchaczy na artystyczny wydzźwięk realizowanych zadań. Naszą intencją w prowadzeniu warsztatów w ramach Centrum Sztuk Wizualnych jest optymalny dobór środków pedagogicznych w taki sposób, by pragmatyzm zastosować narzędzi

w każdym z warsztatów łączył się z artystycznymi, zindywidualizowanymi środkami ekspresji słuchaczy. Wytworzyć ma to w nich wrażliwość artysty i stanowić zachętę do samodzielnego, twórczego rozwoju oryginalnych myśli i poszukiwania nowatorskich rozwiązań nie tylko w fotografii, ale i w grafice komputerowej, filmie oraz malarstwie, batiku, pastelu i innych.

Fotografii poświęcamy wiele uwagi, wzrasta ona wraz z tempem rozwoju tego nurtu sztuki na świecie. Wystarczy podać przykład organizowanych od dziesiątek lat wystaw fotograficznych czy istniejących od 2004 r. międzynarodowych Otwartych Mistrzostw Fotograficznych – konkursu, jakiego w Olsztynie nie było i który po sześciu edycjach cieszy się niesłabnącą popularnością wśród fotografujących. Wielu z nich, z czego jesteśmy dumni szczególnie, zaczęło swoją zawodową karierę od zdobycia laurów w Mistrzostwach. Wystarczy przytoczyć tu nazwiska Cezarego Dębowskiego czy Krzysztofa Raczyńskiego.

Poza konkursem i warsztatami od roku rozwijamy koncepcję fotograficznego festiwalu, który na mapie polskich wydarzeń tego rodzaju ma charakter niepowtarzalny. Co roku dotyczy on bowiem innego motywu przewodniego, wokół którego skupione są wszystkie towarzyszące mu imprezy. Fotomotif Festival, bo tak się nazywa, w 2009 roku dotyczył „Powietrza”, w roku przyszłym będzie się koncentrował na temacie „Wody”. Festiwalowi towarzyszą wystawy, happeningi, koncerty i spotkania z zaproszonymi artystami z całego kraju, prezentującymi swój dorobek twórczy na stałe wpisany już w historię fotografii i ciągle stymulującymi tempo nurtu rozwoju tej dziedziny sztuki. □

Przydatne adresy:

www.csw.mok.olsztyn.pl,
www.omf.mok.olsztyn.pl,
www.fotomotif.mok.olsztyn.pl



< Fot. Justyna Radzymińska „Matejko”



Rzeczywistość, iluzja, dekonstrukcja

Sylvia Białecka
na mapie współczesnej fotografii niemieckiej

We wrześniu i październiku tego roku, w Bibliotece Niemieckiej w WBP w Olsztynie mogliśmy poznać i podziwiać twórczość największych współczesnych niemieckich fotografików. Wystawa „Foto-Szene Deutschland” przygotowana przez Goethe-Institut, na którą składało się ponad trzydzieści albumów, prezentowała najważniejsze tendencje fotografii najnowszej. Podsumowaniem i ukoronowaniem tego spotkania z niemieckimi artystami była prelekcja Georgii Krawiec „Indywidualiści i fotografowie z wyboru”, która odbyła się 12 października.

„Ich will festhalten, wie sich die Räume in der Zeit verändern, wie sich die Räume durch das, was hineingestellt wird, verändern und wie diese Dinge zueinander angeordnet sind”¹.

„Chcę uchwycić, jak wnętrza zmieniają się z biegiem czasu, jak zmieniają się przez rzeczy, które się do nich wstawia i jak te rzeczy są względem siebie uporządkowane”. (Tłum. aut.)

Candida Höfer, autorka powyższych słów, jest uczennicą realistycznej szkoły Hilli i Bernda Bechertów. Jej fotografie przedstawiają przede wszystkim bezładne wnętrza zabytków i przybytków kultury, w których stara się zachować ich piękno i dostojeństwo oraz uchwycić zmiany, jakim z biegiem czasu ulegają. W projektach takich jak „Bibliotheken” – [„Biblioteki”] czy „Weimar” udowadnia, że nie odchodzi daleko od wyznaczników artystycznych swoich mistrzów, którzy tworzyli czarno-białe serie fotografii obiektów przemysłowych, mające stanowić przede wszystkim ich dokumentację. Równie wiernymi uczniami Bechertów są Josef Schulz („Übergang” – [„Przejście”]) i Hans-Christian Schink („Verkehrsprojekte” – [„Projekty komunikacyjne”]). Cechą tych prac jest zupełny brak albo tylko niewielkie zaangażowanie społeczne fotografii, którą uważa się głównie za medium rejestrujące i dokumentujące.

Nieco odmienne podejście charakteryzuje Andreasa Gursky’ego, autora najdroższego zdjęcia na świecie – „99cent” [„99 centów”]. Ideę seryjności realizuje on wykonując liczne ujęcia tego samego obiektu, w przeciwieństwie jednak do swoich poprzedników nie układa z nich cyklu, ale kompiluje je w jeden, zwykle wielkoformatowy obraz.

Niejako ironią albo powtórnym przetworzeniem i reinterpretacją założeń „nowej rzeczowości” (*Neue Sachlichkeit*) są prace Thomasa Demanda („Phototrophy” – [„Fototrofia”]), który tworzy papierowe makiety i fotografuje je, tworząc złudzenie rzeczywistości.

Całkowicie odmienną strategię przyjął Thomas Wrede w części swoich prac zaprezentowanych w albumie „Strange Paradise” – [„Dziwny raj”], które przedstawiają realnie istniejące krajobrazy sfotografowane w taki sposób, by sprawiały wrażenie sztucznie zaprojektowanych makiet.

„»Subjektive Fotografie« heißt vermenschlichte, individualisierte Fotografie [...]”².

„»Subiektywna fotografia« to fotografia zhumanizowana, zindywidualizowana [...]”. (Tłum. aut.)

Przeciwieństwem szkoły bechertowskiej jest podejście Ottona Steinerta i skupionych wokół niego artystów, których prace prezentuje album „Absage an die Wirklichkeit” – [„Odrzucenie rzeczywistości”]. Są to realizacje artystycznych wizji, często malarskie interpretacje pryncypiów, w których zastosowano jedynie techniki i materiały wykorzystywane w fotografii. Przykładem mogą być fotochemiczne, ulotne obrazy Janet Zeugner. Nieco mniej abstrakcyjne, lecz również wyraźnie nawiązujące do malarstwa, są fotografie Beate Gütschow i Sibylle Bergemann.

Przewrotna krytyka drobnomieszczańskiego społeczeństwa charakteryzuje prace Anny i Bernharda Blume, których fotografie są surrealistyczną parodią przeciętnej rodziny i domu, w którym żyje. Niesmaczne w ujęciu klasycznie rozumianej estetyki „ładne-nieładne”, makabryczne, karykaturalne „sceny z życia mieszczańskiego” skłaniają do refleksji nad istotą i aktualnością wartości hołubionych także w Polsce: tradycyjnej wizji rodziny, idealizowanego ogniska domowego oraz dążenia do majątności i dostatku. W pracach Blume ludzie wcale nie zachowują się godnie, posiłki stają się torturą, a sprzęty ożywają jako nasi prześladowcy. Artyści posuwają się dalej i tworzą serie abstrakcyjnych fotografii, które dekonstruują i reorganizują znajomą, codzienną przestrzeń stając się filozoficznym pytaniem o istotę rzeczy.

Sztuki wizualne zawsze oscylowały między subiektywnym a obiektywnym przedstawianiem świata. Podobnie współczesna fotografia niemiecka rozpięta jest między dwoma biegunami, które wyznaczają realistyczna bechertowska szkoła „nowej rzeczowości” *Neue Sachlichkeit* i subiektywne, indywidualistyczne założenia Ottona Steinerta. Przy czym obok ujęć jednoznacznych istnieje cała gama form przechodnich: subiektywne widzenie przybiera maskę obiektywizmu, iluzja mieni się rzeczywistością, realne przestrzenie prezentuje się jak makietę lub przetwarza stosując różnorodne techniki fotograficzne i grafikę komputerową. Prawda miesza się ze zmyśleniem, a przedmioty realne stają się na powrót ideami³. □

¹ Höfer, Candida: *Weimar*, Schirmer/Mosel, 2007, s. 9.

² Steinert, Otto: *Subjektive Fotografie*, Bonn/Rhein, 1952, s. 6. Cyt. za: *Absage an die Wirklichkeit*, Bielefeld/Leipzig, 2006, s. 6.

³ Wiele z zaprezentowanych podczas wystawy albumów znajduje się w księgozbiore Biblioteki Niemieckiej w WBP w Olsztynie. Wszystkich zainteresowanych zapraszamy do Wypożyczalni Literatury Pięknej i Obcojęzycznej w Starym Ratuszu.

Anna Rau

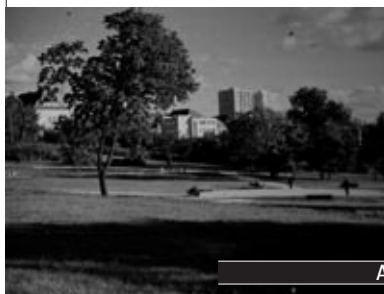
Zobacz – czy pamiętasz?

Fotografie mają dwa życia: te osobiste, wzruszające, oraz – po pewnym bardzo długim czasie – pełne powagi – społeczne. Ich skromną a zarazem najbardziej radosną część egzystencji stanowi czas, gdy żyją ci, których przedstawiają. Jednak wszystko przemija: z łóżecek wydobywają się utrwalone na zdjęciach niemowlęta, zdejmują z posiwiałych głów wianuszki niegdysiejsze dziewczynki w białych sukienkach, rozplatają dłonie pary zapisane na fotograficznym papierze już „na zawsze”. Dziadka Witka już nie ma – umarł – a na fotografii nadal spogląda z lekkim popłochem w oczach znad sztywnego kołnierzyka polskiego munduru. Prababcia Zofia już nigdy nie rozplecie splotów długiego do pasa czarnego warkocza... A właśnie tacy na zdjęciach zostali – na zdjęciach, które przestały być sentymentalną pamiątką konkretnej rodziny, a stały się utrwaleniem przeszłości, narzędziem historii, **DOKUMENTAMI ŻYCIA SPOŁECZNEGO**. Stały się bytami tajemniczymi, ciekawymi i niesłychanie kształtującymi, istniejąc odtąd jako nośniki informacji...

Katalogi wystaw artystycznych, muzealnych i targów, programy teatralne, imprez i występów, zaproszenia, afisze i plakaty (teatralne, muzyczne, artystyczne), pocztówki, kroniki, prospekty, informatory, druki reklamowe, wyjątkowe czasopisma okazjonalne, jednodniówki, foldery, sygnowane obrazy religijne i co najważniejsze **FOTOGRAFIE** – tak „oficjalne” jak i osobiste konkretnych osób... Wiele bibliotek posiada w swoich zbiorach takie nietypowe treści i formą materiały, gdyż stanowią one dokumentację życia regionu. Wojewódzka Biblioteka Publiczna w Olsztynie systematycznie gromadzi dokumenty życia społecznego od 1972 r. – początkowo w dziale Zbiorów Specjalnych, a od 1999 r. Informacyjno-Bibliograficznym. Wszystkie wymienione druki ulotne, to nie „śmieci”, jak często pogardliwie mówi się o tego typu dokumentach, ale przyszły cenny materiał socjologiczny i dlatego też stanowią – obok książek i czasopism – część zbiorów regionalnych biblioteki jako ważne uzupełnienie materiałów o Olsztynie i województwie. Bibliotekarze archiwizują je, utrwalają w bazie elektronicznej i przechowują.

Oto Olsztyn sprzed 50, 40, 30 lat... Te domy, ulice, drzewa już nie wrócą, ale – jak widać – cokolwiek było, zmienia się, dorasta... Przemijanie i zmiana są piękne, zadziwiające, czasem nostalgiczne, i zawsze warte utrwalenia na fotografii. Fotografie to wehikuły czasu.

Prosimy o pomoc w utrwalaniu przeszłości i zachowaniu informacji ulotnych na drukach ulotnych – czyli o pomoc w powiększaniu naszych zasobów dźsów. Jeśli któryś z czytelników chciałby ofiarować nam część swojego życia – własne dokumenty, FOTOGRAFIE, przechowywane w domu pocztówki, programy, czyli dźsy, materiały ulotne rejestrujące tak ulotną historię, miałby niemałą zasługę i pewność, że zostaną one u nas przechowane i zabezpieczone dla przyszłych pokoleń. □



Alfa



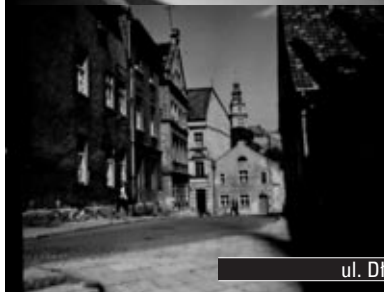
ul. Św Barbary



Basen



Biblioteka



ul. Długosza





Targ Rybny



Ratusz



ul. Lelewela



Stare Miasto



Al. Piłsudskiego



pomnik Dunikowskiego



Siedziba PTTK



Targ Rybny



ul. Prosta



Zamek



Olsztyn w roku 1970 i 2009. Przeszłość – fot. Jerzy Waluga, teraźniejszość – fot. Ryszard Sternik



Między fabułą a dokumentem

– refleksje na temat filmu Janusza Połoma

Małgorzata Kierkus-Prus

Mala herba cito crescit!



W teoriach kultury ponowoczesnej zacierają się różnice międzygatunkowe. Roland Barthes jak i Jacques Derrida głosili śmierć autora. Film Janusza Połoma mieści się w pozagatunkowości, jego dokument miesza się z realizmem magicznym, jest to jednak dzieło całkowicie autorskie, kreowane przez artystę, zagrane przede wszystkim przez niego. Mimo to ów film nie zawiera znamion *voyeryzmu*, reżyser nie podpatruje w nim życia, zamiast tego tworzy własną kreację alkoholizmu, obcości kulturowej i trudnej miłości. Połom unika prostego biografizmu, jego przekaz oscyluje na pograniczu realistycznego ujmowania świata i oniryzmu. Autor zastosował tradycyjną budowę tryptyku – kłamrę spinającą kolejne części. Topos Odysa łączy się z obcością zarówno odczuwania kultury Meksyku, jak i obcością własnego kraju. Barwność meksykańskiego życia towarzyszy monochromatycznemu pejzażowi Warmii.

Mitia (główny bohater filmu) jest obcy i tam, i tu (w Meksyku i w Polsce), nie umie odnaleźć się w żadnej kulturze. Kim jest Mitia? Można określić go jako aroganta, alkoholika i niewiernego kochanka. Jednak taka charakterystyka bohatera jest mocno zawężona. Mitia to człowiek zawieszony pomiędzy dwoma kulturami, w których żadnej nie jest w stanie zrozumieć, ani zaakceptować (sceny na cmentarzu w Meksyku). Chodzi w ciężkim płaszczu po gorącym Meksyku, ukrywa twarz pod kapeluszem. Jego relacje z ukochaną kobietą są cały czas egoistyczne, nie słucha jej, stara się tylko usprawiedliwić samego siebie. Nie umie także uznać rad „Kasandry”. Jedzie do miasta czarownic, by spotkać się z jedną z nich.

Główną zaletą filmu Janusza Połoma jest brak tandetnej dydaktyki i wspaniałe zdjęcia. Wątek samotnego Mitii otoczony został ascetyzmem pejzażu. Połom wskazuje tropy i *topoi*. Nie ma tu nic z wątku czysto melodramatycznego, choć jest rozmowa o miłości.

Trudno oceniać ten film w kategoriach czysto fabularnych, jest to coś między dokumentem a fikcją. Film Janusza Połoma dotyczy uniwersalnych treści – miłości, samotności i obcości. Trudno określić stosunek głównego bohatera do swojej partnerki, jest on co najmniej niejednoznaczny. Jedzie z dalekiego kraju, by ją spotkać, ale tak naprawdę nie ma w tym prawdziwego celu. Ines jest Mitii

całkowicie obca, rozmowa z nią podczas meksykańskiego święta zmarłych jedynie ich dzieli, jest jałowa, bez możliwości wejścia w swoje światy. Mitia mówi o śniegu i mazursko-warmińskich stronach, a ona myśli o zimnie i ciepłe Meksyku. Żadne z nich nie umie zrozumieć drugiego. Arogancki Mitia pragnie, by rozumiano jego kraj (Polskę), który w Meksyku kojarzy się jedynie z papieżem Janem Pawłem II i Lechem Wałęsą. Jemu samemu obie osoby są obojętne, obchodzi go jedynie Octavio Paz i meksykańscy poeci.

Można zapytać, kim jest Ines? W filmie autora to postać nieoczywista, z jednej strony ukochana Mitii, z drugiej czarownica – zatrująca życie bohaterowi – owa *mala herba*.

Zawartość treściowa filmu jednak zdominowana jest formą, zdjęcia autora są walorami samymi w sobie. Staranność narracji polega przede wszystkim na opracowaniu operatorskim. Monochromatyzm warmińskiego kolorytu kontrastuje z kolorytem sekwencji meksykańskich. Przemyślane zróżnicowanie zdjęć podkreśla zamiysł samego twórcy, paradokmentalne rozliczenie z własnym życiem, miłością, ale także obcością kulturową. Mitia jest wyobcowany zarówno w Meksyku, jak i w jego północnym kraju. Reżyser określa wyraźnie wyalienowanego bohatera za pośrednictwem ściśle wykreowanych zdjęć. Sekwencje alkoholizmu Mitii w Polsce dopełnia scena w meksykańskiej tawernie, gdzie nie chce pić tequili. Rozmowa z przypadkowo spotkanym Meksykaninem stanowi nie tylko przykład świetności dialogu, ale także obserwacji operatorskiej, swoistego meksykańskiego kolorytu.

Czy film Janusza Połoma jest dokumentem o degradacji artysty, twórcy i dydaktyka? Do pewnego stopnia tak, ale jednocześnie pierwiastki oniryczne przekształcają wizję czysto realną w fabułę. Jak wspomniałam na początku tekstu, film wymyka się klasyfikacji gatunkowej. Stoi na pograniczu dokumentu, ale nie tak powszechnego podglądactwa innych, wydaje się fabularyzowanym ujęciem życia samego autora. Zamknięciem pewnego okresu, jak i związku z określoną kobietą (*nota bene* współtwórczynią filmu). Można jeszcze zapytać, czy tytułowe złe ziolo zatrulo życie samego twórcy, czy jest to tylko retoryczny zwrot. *Magna otio coeli*². □

Jedna minuta i koniec

Co można zrobić w minucie? Jak zachwycić w 60 sekund? Zostać zapamiętanym podczas ośmiu oddechów? Jedna minuta i koniec. Trzydzieści siedem jednogminutowych filmów można było obejrzeć w Miejskim Ośrodku Kultury podczas pokazu ogólnopolskiej edycji festiwalu One Minute Film. Festiwal jest organizowany od 2006 roku przez Nadbałtyckie Centrum Kultury w Gdańsku i jest polską edycją docierającą do ponad dziewięćdziesięciu krajów na świecie, a koordynowanego przez TOM Foundation w Amsterdamie, festiwalu „The One Minutes”.

Udział w festiwalu jest wyzwaniem. I dla twórców, i dla odbiorców. Wyzwaniem na pewno jest realizacja sześćdziesięcioszekundowego dzieła i tu najważniejszy jest pomysł. A pomysły były różne – animacje, minidokumenty i minifabuły, mniej lub bardziej intrygujące. Pokazane filmy podzielono na dwie kategorie – film (tradycyjne narracje) i forma (niefabularne formy filmowe). Każdy trwa dokładnie 60 sekund. Narracją lub formą trzeba zachwycić, przemyśleć i wyczelować każdą sekundę. Ważna jest tu precyzja w wyrażeniu myśli, sprawny montaż i jasne przedstawienie tematu. Nawet po kilkukrotnym obejrzeniu 37 filmów jedynie kilka z nich zapadło mi w pamięć. I to jest wyzwanie dla odbiorców. Migające jednogminutowki po jednorazowym obejrzeniu zlewają się niemal, trudno wyróżnić najciekawsze, trudno zapamiętać te najlepsze. Może to pamięć działa wybiórczo, a może właśnie na tym polega specyfika krótkich filmów. Wrażenie zrobił na mnie film „Telefon” w reżyserii Janusza Dziopy – prosty, niemal statyczny obraz siedzącej na wózku inwalidzkim postaci i krępująca rozmowa telefoniczna syna pracującego za granicą z chorą matką. Do tego parę elementów humorystycznych. I to właśnie humor, takie odnoszę wrażenie, jest dominantą

tego typu filmów, zaskoczenie i humor sytuacyjny. Jednak autor tego filmu użył humoru jedynie jako środka do przekazania czegoś istotniejszego i aktualnego. Może to banał, kolejna próba pokazania aktualnych problemów – syn zdawkowo zapewnia o przyjeździe, zachęca matkę do korzystania z komunikacji internetowej – jednak moim zdaniem niewiele filmów pokazanych podczas festiwalu odwołuje się do tematów bieżących. Większość autorów jednogminutowek raczej skupia się na formie i zabawie obrazem. Ciekawy był też film „Oddychanie” Piotra Komsty – mijające pory roku w ogrodzie, wdech i wydech.

Podczas pokazu nie zabrakło akcentów olsztyńskich. Drugą nagrodę w kategorii film otrzymał obraz Tomasza Wolszczaka „Szybki montaż”, natomiast jednym z pokazanych filmów w kategorii forma był „Ja – emocjonalnie” Szymona Klauza. Oba filmy wypadły interesująco na tle ogólnopolskim, imponują pomysłowością, ale trudno opowiedzieć ich treść.

Jednogminutowki są moim zdaniem tak naprawdę czymś pomiędzy spotem a załącznikiem filmu. Są specyficzną formą komunikowania się z widzem, zabawą, jednak trudną formą do realizacji. Właściwie mogą być wprawką przed reżyserią filmu krótkometrażowego, który jest znacznie bardziej komplementarną wypowiedzią realizatorów. Niefortunne ograniczenie czasowe do 60 sekund może więc nauczyć wyboru poszczególnych kadrów, precyzyjnego montażu i dyscypliny czasowej, nie sądzę jednak, aby filmiki jednogminutowe można było traktować jako pełną wypowiedź filmową. Zastanówmy się jednak, jak wyglądałaby nasza historia zamknięta w minucie, opowiedziana kamerą... Nasze osobiste osiem oddechów... □

Fot. Piotr Dowejko „Ludo-wisko”, OFM '2009.



Fot. Piotr Woliński „Mitośnik”, OFM '2009.

